

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87.

„BLUSZCZ“

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

telefon 2-44-18.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

My i ona — *Zofja Popławska*. Poezje: Jesień — *Lucyna Krzemieniecka*. Pojednanie — *Zofja Nalkowska*. Strażniczka mogił — *St. Osin-ska*. U tych, co nas łączą z przeszłością — *Dr. M. Kastorska*. Starościny — *J. Krawczyńska*. Dwa dni wśród K. O. P. na Polesiu — *Jerzy K. Maciejewski*. Echa Poznańskie — *Zofja Karczewska*. Z teatrów — *S. P. O.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Późna jesień w ogrodzie; Heljotrop; Kwiat naszych babek; Akacja na nieużytkach; Co robić w sadzie po opadnięciu liści — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo: Dokoła chaty — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*. Mody i roboty.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz”, Sp. z ogr. odp

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

$\frac{1}{1}$ str. tekstu	zł. — 700.—	Okladka III-cia	$\frac{1}{1}$ str. okł.	zł. — 500.—	Okladka IV-ta
$\frac{1}{2}$ „ „	— 400.—		$\frac{1}{2}$ „ „	— 250.—	
$\frac{1}{4}$ „ „	— 200.—		$\frac{1}{4}$ „ „	— 150.—	
$\frac{1}{8}$ „ „	— 100.—		$\frac{1}{8}$ „ „	— 80.—	
$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—		$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—	
$\frac{1}{32}$ „ „	— 30.—		$\frac{1}{32}$ „ „	— 30.—	
				zł.	
				$\frac{1}{1}$ str. okł.	— 600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Przystań

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY



Pomnik Bolesława Prusa na Pomązkach.

My i ona

Solidarność kobieca...

Czyż może istnieć rzecz taka między istotami tak odmiennych warunków bytowania, kultur, obyczajów, upodobań i temperamentów, jak kobiety całego świata? Cóż bo może mieć wspólnego skośnooka chinka z jasnowłosą szwedką, jakież punkt porozumienia znajdzie amerykańska miliardarka z sowiecką komsomolką? albo i ta sama księżniczka dolarowa ze swoją „siostrą“ amerykańską, pracującą w dużej halli fabrycznej za kilka dolarów tygodniowo?

Więc jakże jest z tą solidarnością kobiecą, o której ciągle mówimy, którą zamęczamy wszystkich dookoła nas, do schrypięcia głosów, do znużenia siebie i innych? I czy wogóle potrzebna jest ta jakaś szczególna solidarność kobieca, czy nie wystarczy nam, kobietom poczucie człowieczeństwa i zwykłej solidarności, zawodowej?

I tu, mam wrażenie, dochodzimy do momentu zrozumienia, czym jest i być powinna solidarność kobieca.

Bo przecież „kobieta“ to nietylko istota o odmienniej strukturze fizjologicznej, psychologicznej i duchowej, ale i istota, powołana do wykonywania pewnych szczególnych zadań, ba, powiedzmy więcej! do których wykonywania nie chce dopuścić mężczyzn, ani kobieta, ani mężczyźni!

Jestem przekonana, że walka o prawo do wykonywania tych pogardzanych przez wiele kobiet, a jednocześnie zazdrośnie bronionych zawodów, skończyłby się musiała dla mężczyzn porażką: ogół mężczyzn zwalczałby we własnym, egoistycznie pojętym, interesie reformatorów z niemniejszą zaciętością, niż my, kobiety umiemy zwalczać bojowniczki o nasze prawa...

Tych czysto kobiecych zawodów, których wykonywanie wymaga kobiecej psychiki, właściwego kobietom poczucia rzeczywistości i wielowiekowego nawyku, jest całe mnóstwo.

Lecz są tak nieefektywne, tak mało poświęcamy im w życiu codziennej uwagi! Podświadomie jednak wiemy, i my i mężczyźni, że prawo do wykonywania ich mają tylko i wyłącznie kobiety.

To podświadome u większości kobiet, a jakże słuszne, traktowanie naszych spraw i zagadnień (jako *zawodowych*), umożliwia istnienie tworców tak pozornie nielogicznych, jak Stowarzyszenie Studentek lub Klub Kobiet z Wyższym Wykształceniem.

Niepodobna wyobrazić sobie przecież, żeby powstało i mogło istnieć stowarzyszenie męskie, o celach nie czysto towarzyskich i nie zawodowych, w którym stykaliby się wszyscy mężczyźni bez względu na przekonania społeczne i polityczne, interesy i zainteresowania intelektualne tylko dlatego, że mają za sobą wyższe studja!

A istnienie takiego stowarzyszenia kobiecego jest nietylko możliwe, ale i usprawiedliwione i potrzebne. Poza zawodem, sferą, wykształceniem, zainteresowaniami i przekonaniami łączy nas przemożne, silne poczucie: jestem kobietą!

Poczucie, podkreślam, bynajmniej nie jedynie

seksualnej, ani nawet duchowej odrębności, ale w równym stopniu i społecznej.

Poczucie, nie obrażające w niczem naszego człowieczeństwa, ale stawiające nas na niektórych odciśnięciach życia, po nad niem.

Stąd już tylko jeden krok do upragnionej i wywalczanej, przez bardziej uświadomione jednostki, solidarności kobiecej.

Ale podczas gdy poczucie odrębności jest w kobietach instynktowne, potrzeba solidarności jest aktem świadomym, wypływającym z tego poczucia.

Potrzeba ta, niestety, drzemie jeszcze w kobietach... Wszystko, co mówimy o solidarności kobiecej, jest właściwie pobożnym życzeniem, żeby rzecz taka między nami istniała. Zawsze jeszcze budujemy nasz światopogląd na jednej z dwu podstaw: „Ja i one“ „my i ona“.

Pierwsza, to hasło egoistycznych, albo zbyt indywidualizowanych natur.

Mówimy na własną obronę, że jesteśmy inne. Och, niekoniecznie lepsze, mądrzejsze, czy piękniejsze, ale inne, i to poczucie inności pozwala nam domagać się od życia więcej, niż wymagamy dla reszty kobiet. Czasami, szczęścia, czasami tylko uznania, prawie zawsze wyrozumiałości.

Ponieważ przeważnie nie zdajemy sobie sprawy z tej par excellence kobiecej cechy, wbrew woli stajemy na przeszkodzie ku temu, żeby bierne poczucie odrębności od świata męskiego przekształciło się w czynną solidarność kobiecą.

Zawsze bowiem w momencie decydującym myślimy „ja, i one“. I „ja“, a więc osobisty interes, czy interes rodziny czy sfery, zwycięża.

Podczas jednak gdy światopogląd „ja i one“ jest hamulcem, utrudniającym opanowanie i wyzyskanie dla dobra społeczeństwa kobiecego naszej odrębności, dzielenie świata kobiecego na „my“ i „ona“ jest uniemożliwieniem realizacji idei solidarności kobiecej.

Kiedy mówię „ona“, to mam na myśli tę, która z tych czy innych powodów, w ten czy inny sposób wyłamała się z naszych szeregów.

„Ona“ to ta, z której nie umiemy być szczerze dumne, i ta, której nie potrafimy zupełnie zrozumieć, i ta, której nie chcemy bez reszty współczuć, i ta, której nie możemy przebaczyć, lub wahamy się pomóc.

Istnieją, rzecz naturalna, wyjątki, ale tak rzadkie, tak nieliczne, że tylko, zgodnie ze znanym powiedzeniem, potwierdzają regułę.

Regułę okrutną w swojej stwierdzającej prawdzie: solidarność kobieca, pomimo wszystkich danych i praw do istnienia, nie istnieje.

Jesteśmy zawsze pierwsze do rzucenia słowa potępienia, bynajmniej nie łżejszego od ewangelicznych kamieni, w stronę tej, której się nie udało.

Jesteśmy zawsze niesprawiedliwie surowe dla tych, które nie odpowiedziały naszym, na niczem nieopartym, nadziejom. „Tak inaczej się zapowiadała!“ mówimy dla własnej pociechy, zapominając, że to

nie „ona się zapowiadała“, ale myśmy ją „zapowiadaly“. Jesteśmy skape w pochwałach dla tej, z której

Jesteśmy skape w pochwałach dla tej, z której dumny jest cały świat.

Zawsze znajdziemy skazę na uznanej przez cały świat piękności, niedoskonałość w sławionym przez świat talencie kobiecym, śmieszność w uwielbianej przez świat wielkości kobiecej...

My i ona... Nie nie istnieje żadna solidarność między nami i nią, tą, z którą właśnie powinniśmy się czuć jednym, czy to przez to, że na nas przez to spływa dobro, czy też, że ona tego potrzebuje.

Jeżeli stać nas na solidarność, to tylko w stosun-

ku do szarej masy kobiet, kiedy ta solidarność jest właściwie odmianą samoobrony, tyle w niej jeszcze pokutuje elementów podświadomej utylitarności.

Prawda, to poczucie solidarności, wykluczające podział świata kobiecego na „ja“ i „one“ wymaga pewnego uspołecznienia, ale dopiero świadoma solidarność z tą, która się wyłamała, dobrem czy złem, wielkością czy grzechem, to zatarcie granicy między nami — masą, i nią — jednostką, jest tą prawdziwą solidarnością, która jedynie usprawiedliwia nasze jednoczesne dążenie od obrony odrębności i wywalczenia równouprawnienia dla kobiet.

Zofja Popławska.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

JESIEN

*U sąsiadów w oknach
złocą się światła,
jesień zdaje się
taka łatwa.
Widać twarzyczki dzieci,
roześmiane
i cienie kaktusów
z za firanek
I obfitości pełne słoje,
a wiatr, tak się do mojej
dobija szyby,
jakgdyby*

*ze mną tylko mógł przeżyć
tę jesień, we dwoje.*

* * *

*Niebo zasnutę szarym żalem,
oczy mgłami zasnutę.
Leżą wieńce dębowe na grobach
jak smutek.
I nie wiem już, kogo żalować,
choć ziemia tak drży na zimnie.
Z Wami przecież
są wszystkie legendy o rajach,
a wichry tylko przy mnie.*



Pojednanie

(Dokończenie).

2)

Gdy wyszła z bramy, zobaczyła stojącego naprzeciwko w niezdecydowaniu Ziembiewicza. Widziała go i jakby go zarazem nie poznawała. Czy, że była tak pewna, że nie może tu być, czy też, że w ubraniu, którego nie знаła, wydał jej się kimś innym, przeobrażonym tem oddalonym życiem, daleki i cudzy. Chwilę trwało, zanim podała mu rękę.

— To przyjechałeś — spytała zachrypłym, rwącym głosem.

Ale on radośnie i jakby triumfalnie zawołał:

— Elżbieto!

Wziął ją pod rękę i poprowadził ulicą dalej od domu. W tym tak jej znanym, żelaznym uchwycie szła prędko, przerażona ze szczęścia.

— Wszystko ci powiem.

— Poczekaj — powiedziała nagle, stając — muszę tylko zatelefonować do matki, żeby nie czekała.

Szli spiesznie, zostawiając za sobą ludzi i ulice. Milczeli, przytuleni do siebie.

— Coś ty zrobiła, coś ty zrobiła, Elżbieto, — mówił bez gniewu, ani smutku, patrząc na nią z zachwytem.

W tej samej małej cukierce, gdzie znaleźli telefon, w jej drugim, ciemnym pokoju, z łokciami na zimnym stoliku z marmuru, mówili z twarzą przy twarzy.

— Słuchaj, Elżbieto, teraz jesteśmy wolni, teraz już możemy. To wszystko jest już zupełnie skończone, załatwione, rozumiesz?

Nie pytała jeszcze teraz, jak to załatwił. Ich ręce puściły się tylko na chwilę, gdy dziewczynka usługująca weszła z kawą i rogalikami.

— Powiedz, przecież wiedziałas, że ci nie dam odejść. Ale musiałem czekać, póki nie miałem pełnej pewności. Żeby już nic nigdy nie stanęło między nami.

— Ciągle czekałam, że się odezwiesz, Zenonie. Co dzień mi się zdawało, że przyjdzie od ciebie list.

— Ach Boże — ucieszył się Zenon. — Widzisz, i ja co dzień zabierałem się do pisania. Ale co miałem ci pisać? Obiecować, kiedy sam jeszcze nic nie wiedziałem... Tyle mam ci powiedzieć! A ty co tu robiłaś? Słuchaj, pokaż się, tak ślicznie wyglądasz, taka się zrobiłaś elegancka! Poczekaj, zdziwisz się, jak ci wszystko opowiem. Proponują mi tam dziwne rzeczy, zobaczysz. Ten Czechliński... Ale słuchaj, chodźmy stąd! Chodźmy, chodźmy.

Stukał w szklankę, żeby zapłacić. Wyszli na jasność poranka, jak z piwnicy, otoczyło ich jaskrawe światło. Zatrzymali taksówkę, kazali się zawieźć do parku. Całowali się w pędzie, tracąc oddech.

— Tu przychodziliśmy z matką, — mówiła, prowadząc go po znajomych alejach. — Ale ja myślałam o tobie.

Te same jasnokore drzewa szły w górę naziemi, śmigłami pniami za zielonym obłokiem korony, aż w niebo. Te same grzędy i zagony, niwy i łąny kwiatów oblewały bokami aleje. W dole, w głębi parku,

śmieszne pawie bez ogonów chodziły po trawnikach. O tej porze nie było tu jeszcze ludzi.

— Pojedziemy zaraz dziś, albo jutro, Elżbieto — mówił Zenon, ściskając ją w ramionach. — Weźmiemy ślub, weźmiemy ślub, weźmiemy ślub.

Nie pojechali jednak ani tego dnia, ani następnego. W południe upał był nie do wytrzymania. Z parku wyszli powoli pod górę, poczekali na tramwaj, przebyli senne, białe od słońca i kurzu miasto.

— Idziemy do mnie, — powiedział. — Tam sobie odpoczniesz.

Mieszkał w małym, mrocznym hoteliku przy bocznej ulicy. Leżąc w jego uściskach, w mroku nieznanego pokoju o zasuniętych, pluszowych, brudnych kotarach, w obcej pościeli, Elżbieta myślała, że musiała być szalona, wyjeżdżając wówczas, pisząc ten list. Jego domknięte wokół niej ręce to było jedyne bezpieczne miejsce na ziemi. Czyż istotnie wyobrażała sobie, że mogłaby żyć bez niego.

— Byłam szalona — wymówiła półgłosem, choć on tego nie rozumiał. Chciał, żeby powtarzała mu jeszcze, żeby powtarzała wciąż, że go kocha.

O zmierzchu głód wywiódł ich na ulicę. W ciemnej kabinie publicznego automatu Elżbieta znowu telefonowała do matki, a Zenon stał obok, trzymając ją w pół.

Zakryła dłonią tubę i spiesznym szeptem powiedziała, że matka chce go poznać. Nieśmiało zapytała:

— Może poszedłbyś ze mną!

Zdziwiła się, gdy odpowiedział gorąco:

— Naturalnie, że tak.

— Bo widzisz, to jest zupełnie obcy świat. Ty nie masz pojęcia! Wszystko będzie cię tam raziło.

— Co znowu, nigdy w życiu. Przecież będziemy razem.

Hotel, w którym stała matka, był niedaleko. Szli piechotą przez coraz szersze, piękniejsze ulice, minęli rozległy plac. Widzieli się wzajemnie na tem tle nowym; czerpali z tego nieznanego, dziwne wzruszenie. Zaczęli roić o dalekich podróżach we dwoje, o rzeczach, które czekały ich w niepojętym, czarodziejskim obrębie przyszłości.

Oprócz ojczyma, który przyjechał, w saloniku na zwykłym swem miejscu siedział pan Sobosławski. Witając się z matką i z dwoma tymi panami i przedstawiając im Zenona, Elżbieta znowu doznała obawy przed zetknięciem się tych dwóch światów. Czuli, że jeżeli wyniknie z tego jakiś zgrzyt, wobec jednych i drugich wina spadnie tylko na nią. Poznała po tej obawie, że w głębi duszy marzy sobie, iż to Zenon ich oczaruje.

Dla Elżbiety było zaproszenie na raut, który miał odbyć się tegoż wieczoru, powodu jakiegoś sportowego zjazdu. Matka zapytała Zenona, czy nie wybrałby się z nimi. Ku zdziwieniu Elżbiety, Zenon przyjął bez wahania, właściwym sobie, sztywnym ukłonem dziękując za zaproszenie. Pan Sobosławski łagodnie ujął ze stolika tubę telefonu, sennym głosem wypowiedział parę słów do jakiejś kancelarji i rzecz

była załatwiona. Elżbieta uczuwała głuchy niepokój, czy Zenon wie, że na to trzeba iść we fraku i czy go zabrał ze sobą, na tak krótko tu przyjeżdżając. Zarazem było jej wstyd, że taką rzeczą naprawdę się niepokoi. Nazajutrz wieczorem przewidziany był znowu teatr i w loży były wolne miejsca, gdyż pan Niewieski miał wieczór zajęty. Na pójście do teatru Zenon zgodził się także.

Wieczorem spotkali się wszyscy na dole i przeszli do sali restauracyjnej, by zjeść coś przed rautem. Pan Niewieski był tym, który zapraszał, wyznaczał miejsca przy stole, czytał kartę i udzielał kompetentnych rad. Miał przytem szczególnie na uwadze „delikatny organizm” swej żony, a ona jego ton żartobliwy przyjmowała z powagą, lecz łaskawie. Jego małżeństwo, do którego doprowadził poprzez dwa rozwody i wiele przeszkód, stawianych przez pierwszą żonę, było domknięciem klamry nad silną, wieloletnią namiętnością jego życia. Sam był pięknym jeszcze, starszym panem — duży, tęgi, z ciemną, twardo obrysowaną głową, osadzoną w sposób, jakby i dla niego samego trochę niewygodny, na krótkim karku. Ruchy miał ciężkie, zarazem pełne swobody i uroku, bary szerokie, wzrost wielki, manjery ujmujące. Jego grzeczność uważna, baczna, skwapliwa, budząca zaufanie, żartobliwa i opiekuńcza wydawała się prawie dobrocią. Miał za sobą długą, przedwojenną przeszłość, której momenty heroiczne jeszcze tu i owdzie pamiętano. Groźny wyraz jego brwi czarnych, zbiegających ukośnie ku nosowi, złagodniał z biegiem lat i rozwojem kariery. W nowym stanie rzeczy okazał się wybitnym finansistą, ostrożnym politykiem. Utył, mówił gładko, ruszał się, jadł, palił cygara, jakgdyby nigdy, głodny, obdarty i prześladowany, nie krył się po cudzych mieszkaniach przed policją i w swym budzecie nie liczył w pierwszym rzędzie na drobne pożyczki wypróbowanych przyjaciół. Osiągnąwszy to, co osiągnął, nie pozwalał sobie na odpoczynek. Uważał, aby każdemu się podobać, chwytny na cudze słowa, ciekawy cudzych spraw, zawsze baczny na poziom człowieka, z którym miał do czynienia, by odrazu zastosować do tego swoje słowa, żarty i uczynki.

Przy stole okrągłym, w dużej białej sali, na białych, złożonych ludwikach zasiedli, oprócz rodziny, naprzód pan Sobosławski, a potem prawie nieoczekiwanie oboje Tczewscy, którzy też szli na raut i też przedtem przyszli się tu posilić.

Elżbieta widziała, jak szybko ten zawsze pochmurny i gwałtowny Zenon staje się miły, miękki i zdawkowy, jak łatwo służą mu słowa i uśmiechy. Siedział między matką i panią Tczewską. Mieli sobie odrazu dużo do powiedzenia o Pieszni, o Czechlińskim, o związanych z nim sprawach. Z drugiej strony hrabiny siedzący Sobosławski też okazał się znajomym Zenona z Paryża, słuchaczem tych samych profesorów w szkole nauk socjalnych i politycznych. Elżbieta była rada, widząc, że Zenon ładnie wygląda między tymi ludźmi, że się podoba. Pan Niewieski zadawał mu przez stół różne pytania, jakgdyby delikatnie i uważnie badając, czy jest mądry, czy głupi. Gdy Tczewski, mrużący wciąż oczy, jakby źle słyszał, czy przewycięzał roztargnienie, co chwila poważniejąco nagle od cudzych i nawet własnych słów,

JAKO Nr. 3 BIBLIOTECZKI

„Ja to zrobię”

wyszła z druku książka

„Przedmioty ozdobne z blachy”

w opracowaniu J. Z. Piwko

Cena 1 złoty 40 groszy

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Warszawa, Solec 8 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich większych księgarniach. Konto P. K. O. 2200.

poinformował ministra, że Czechliński sprawę pana Ziembiewicza już definitywnie załatwił z wojewodą, ten zajął się prawie wyłącznie osobą Zenona. Częstował go winem, namawiał na skądś zdaleka przywiezione cygareto. I Elżbieta nagle zaczęła żałować, że sama zorganizowała to spotkanie, w którym traciła na nowo ledwie odzyskanego Zenona, traciła na rzecz spraw, które wydawały się jej teraz niewarte jej poświęcenia. Nowa, nieznana rzecz wchodziła między nich. On był bliższy im wszystkim, niż ona.

To wrażenie było przelotne i rozwiało się w ciągu wieczora, gdy w szeregu wspaniałych, rozległych sal starego pałacu, zatraceni między obcym, wystrojonym tłumem, gubili się i odszukiwali najbliżsi sobie i stęsknieni. W ciżbie znaleźli gdzieś pod ścianą dwa wolne, królewskie czasy pamiętające, fotele. Tam usiedli i wydali się sobie samotni, jak w lesie.

— Kiedy na to wszystko tutaj patrzę, — powiedziała Elżbieta — to nie mogę sobie wcale wyobrazić, jak ty potrafisz, jak ty będziesz mógł z twojem usposobieniem, z całą twoją tak niezależną naturą przystać na wszystko, co tam jednak będzie niewątpliwie konieczne...

— No cóż, — rzekł Zenon trochę jej słowami zaskoczony, — ja się przecież ani o to nie starałem, ani mi na tem zależało. Spróbuję. A gdyby się okazało, że to nie dla mnie...

Przestał mówić, czując, że nie o to chodzi w jej pytaniu, że wogóle nie to jest ważne. Chwilę pomyślał, pochylił się ku niej i w wielkim, huczącym gwarze sali powiedział poprostu:

— Widzisz, przecież ja nigdy dawniej nie byłem z tem związany. To nie jest dla mnie dramat osobisty, jak dla tamtych, to nie jest rozwianie się złudzeń, ani żadne rozczarowanie...

I dodał jeszcze:

— Myślę, że właśnie teraz dopiero będę miał więcej sposobności do inicjatywy, że właściwie będę daleko swobodniejszy, niż dotąd. I zresztą, gdyby mi było ciężko, to przecież nie będę sam, będę miał ciebie. Ty właśnie będziesz mi wtedy pomagała.

Następnego wieczoru, gdy siedzieli w teatrze, patrząc na rzeczy, dziejące się na scenie, Zenon w ciemności wziął ją za rękę. Później uczuła drugą jego rękę i wsuwający się lekko na palec pierścionelek. Nie uczyniła żadnego ruchu, nie wyszeptala ani słowa.

Zofja Nalkowska.



Grób ks. Skorupki na Powązkach.

Strażniczka mogił

Pani Władziowa wstaje o godz. 5½ rano, zmiata izbę, rozpala ogień w kominie, przyrządza śniadanie, budzi młodsze dzieci, żeby nie spóźniły się do szkoły i nie szczędzi uwag i napomnień najstarszej córce, Natalce.

— Nie zapominaj, że dzisiaj Zaduszki — tłumaczy na pół śpiącej dziewczynie — Powinnaś sprzedać wszystkie wianki, bo na drugą taką okazję trzeba czekać cały rok!

Jeszcze jedno nienawistne spojrzenie na śpiącego męża, który od 10-ciu miesięcy nie może znaleźć pracy i pani Władziowa w wysokich butach, ciepłym, obszernym kaftanie, otulającym jej bujne kształty, zmierza szybkim krokiem w stronę cmentarza powązkowskiego.

Roboty ma dzisiaj znacznie więcej, niż zazwyczaj. Trzeba porządnie pozamiatać aleje cmentarne i dróżki, uprzątnąć je z zeschniętych liści, uporządkować groby, wyrzucić zwiędłe kwiaty, podlać świeże. Zdarzają się goście, którzy cały rok nie przychodzą na Powązki, ale dzisiaj, święto Zmarłych, każdy zapali lampkę na mogile bliskiego.

— Gdyby tak można było pojechać na Bródno — wzdycha pani Władziowa.

Ale pragnienie jej pozostanie w krainie nieziszczalnych marzeń. Nie wolno jej dzisiaj ani na chwilę zejść z posterunku, bo w dniu święta Zmarłych do rąk pani Władziowej płyną zazwyczaj pokaźne datki. Na Bródno pojedzie mąż strażniczki mogił.

— Jak się wyśpi próżniak — rzuca z pogardą.

Miotła i polewaczka nie próżnują w rękach pani Władziowej. Niektórzy goście przyjeżdżają na Powązki już o godz. 8-ej rano. Jeżeli nie zastaną posprzątanego grobu, nietylko ani grosza nie wsuną w rękę pani Władziowej, ale gotowi poskarżyć się w Zarządzie Cmentarnym...

Pani Władziowa zna dobrze cmentarnych gości. Zna starszą panią w żałobie, która wczesnym rankiem zapali lampki na darnią pokrytej mogile. Jest skąpa. Złamanego grosza nie da strażniczce mogił. Płaci w Zarządzie za utrzymanie grobu, i nie interesuje się czy pensja pani Władziowej starczy jej na życie! Pani Władziowa uśmiecha się. Gdy-

by liczyła tylko na pensję w Zarządzie...

— Ile ona wynosi? — pytam z ciekawością.

— Grosze — wzdycha pani Władziowa.

— Ale ile?

— Grosze — powtarza wymijająco.

Pani Władziowa specjalną pieczę otacza grób, którego zda się strzec olbrzymi, marmurowy anioł. Rodzina zmarłego przyjeżdża w Zaduszki własnym samochodem, z którego wysiadają dwie młode panie i starszy, wysoki pan i idą w kierunku marmurowego anioła. A za nimi postępuje szofer, dźwigając olbrzymie naręczce kwiatów. Starszy pan własnoręcznie stroi płytę marmurową kwiatami, towarzyszące mu panie zapalają światła. Odchodząc, dają zawsze pani Władziowej 3 albo 5 zł!

— Prawdziwe państwo — kiwa głową z zadowoleniem Władziowa — Zaraz poznać, że nieboszczyk był dobrym człowiekiem! Nie żałują pieniędzy!

Zdaniem pani Władziowej ci zmarli zasługują na miano do-

brych“, których rodzina nie zapomina o strażnicze mogił...

Pani Władziowa zna wszystkie groby w swojej kwaterze. I dobrze wie, kogo kryją płyty marmurowe, płyty z piaskowca lub pokryte darnią. Skromny grób w pobliżu bramy wejściowej należy również do uprzywilejowanych. W Zaduszki dwie młode panienki, w szkolnych beretach ustawiają doniczki ze świeżymi kwiatami, zapalają 3 duże „Znicze“ i całą zawartość pensjonarskich portmonetek wysypują na ręce pani Władziowej.

— Niech pani dba o naszą mamusię — proszą.

Władziowa czuje w gardle dziwną suchość. Chociaż jest przyzwyczajona do umarłych, łez i bólu ludzkiego, ale słowa dziewczynek rozczulają ją niemal do łez. Zaraz wspomina swoją ukochaną córeczkę Baškę, co już trzeci rok leży na Bródnie i matka nie może zapalić światła na jej mogile w dniu Zadusznym...

I natychmiast wraca myślą do drugiej córki, Natalki. Czy aby uda jej się sprzedać wszystkie wianki? Czy potrafi zachęcić klientów, zdobyć pierwsze miejsce w wyścigu do przepelnionych tramwajów? Natalka jest leniwa, nie ma wiele sprytu, niepodobna jest do Baški! O nie!

Na darnią pokrytej mogile zabłysło drobne, żółtawe światełko. Starsza pani stroi już swój grób. Niedługo przyjdzie elegancki, przystojny pan w żałobnej opasce na rękawie, który stracił swoją młodą żonę przed samą Wielkanocą. Odwiedza często nieboszczkę. Zarzuca jej grób drogiemi kwiatami i długo siedzi na kamiennej ławeczce z twarzą, ukrytą w dłoniach. Władziowa zawsze stara się znaleźć w pobliżu, gdy pan w żałobnej opasce podnosi się wreszcie z kamiennej ławki. Czasami wsunie w jej rękę złotówkę. Raz dał jej 20 złotych, a innym razem zużyty bilet tramwajowy.

— To wszystko bez tę żalność — wzdycha Władziowa, odmiatając marmurową płytę.

Siostra jej, Walerka, która wyszła za mąż za ślusarza i mieszka na Ochocie, dziwi, się że Władziowa nie boi się cmentarza.

— Jąbym z samego strachu umarła! — twierdzi.

Ale Władziowę bawi lęk siostry. Bać się? Czego? Cóż złego mogą jej uczynić umarli? Raczej można się obawiać żywych! A w Zaduszki, gdy na wszystkich grobach zapalają się światła, gdy wszystkie mogiły toną w powodzi żywych kwiatów, Powązki rozkwitają pięknem pełnem melancholji, które znajduje

odźwięk w sercu strażniczki mogił...

Krytycznym spojrzeniem ogarnia wszystkie groby, podlegające jej pieczy i oddycha z ulgą. Wszystkie są porządnie zamiecione, obsypane dookoła żółtym piaskiem. Znikły zwiędłe liście, puste doniczki. Nikt nie może mieć do niej pretensji. Ani Zarząd, ani goście!

— Jezus! — wybiega nagle z jej ust przerażony szept.

Podbiega szybko do zaniebanej mogiły, kryjącej się w cieniu wspaniałej kapliczki z marmuru. W zaniebanej mogile leży student, którego Władziowa widywała dawniej często na grobie swojej narzeczonej. Mówiono, że umarł z żalu, bo nie mógł przeżyć śmierci ukochanej dziewczyny. Inni szeptali, że z rozpacz podniósł na siebie rękę... Władziowa nie zastanawia się, kto ma słusność. Żal jej młodego studenta o niebieskich oczach, o którym wszyscy pewnie zapomnieli, bo nikt nie dba o jego grób. Nawet w dzień Zaduszny! I chociaż Władziowa dzieli zmarłych na „dobrych“ i „złych“ nieboszczyków, chociaż musi pamiętać o 2 małych synkach, o leniwej Natance i bezrobotnym mężu, w dniu święta Zmarłych nie zapomina nigdy zapalić lampki na grobie studenta, który umarł z miłości...

St. Osińska.



Aleja cmentarna jesienią.

U tych, co nas łączą z przeszłością

(Korespondencja własna „Bluszczu“).

Dom, jak wszystkie inne domy paryskie. Szara, przeciętna kamienica na bulwarze St. Michel. Trochę ciemnawe schody, z jakiegoś bocznego okienka wytryska nagle chłodne światło jesiennego dnia. Dzwonię na pierwszym piętrze. Otwiera mi panna Bronisława Okińczyc, wnuczka Bohdana Zaleskiego. Istny portret dawnej damy ukraińskiej, o wyrazistej energicznej twarzy, wielkich zadumanych oczach i czarnych, zlekka przyprószonych szronem włosach. Przyznam się, że choć to wnuczka Bohdana Zaleskiego, jestem zdumiona tem ukraińsko-polskim zjawiskiem na paryskim gruncie. Ale nie tu kres moim niespodziankom. Gdy wchodzę do jasnego, dużego jak na Paryż pokoju, na powitanie moje podnosi się z trudem z fotelu starzec szczupły, trzymający się bardzo prosto mimo wieku. Któż z nas nie zna starych sztychów, przedstawiających polskich hetmanów lub senatorów z XVI lub XVII wieku? Twarze patryarchalne, ściągłe, o trochę zaostrzonych wiekiem rysach, twarze, na których wiele napisał rylec życia, ale z których patrzy zarazem wielka moc ducha i pogoda. Taką hetmańską głowę, zakończoną długą młeczną brodą, ma Dyonizy Zaleski, dziś patriarchy kolonji dawnych emigrantów polskich w Paryżu. Mniej tylko może w niej siły, więcej wyrazu cierpienia. Trudno, tamci. „z młodu mieli ojczyznę“, a on był już synem wygnańca.

Rozglądam się dokoła. Cała historia emigracji polskiej na tych ścianach. Najpierw duży portret Kościuszki.

— Malowane z natury, — objaśnia mnie Dyonizy Zaleski, gdy Kościuszko był we Francji.

Obok przesłiczna miniatura z 1830 r. Polski ułan w fantazyjnym mundurze, burka jak na portretach księcia Józefa, mina do stu diabłów. Ale twarz młoda, uśmiechnięta do życia, przesłiczna z tym wyrazem zapału młodzieńczego, w którym jest jeszcze coś dziecięcego.

— Kto to? — pytam gospodarza.

— Nie poznaje pani? To mój ojciec, Bohdan Zaleski. Oh, dawne czasy, to z rewolucji, gdy ojciec był porucznikiem ułanów. Było ich wtedy trzech przyjaciół „Ukraińców“, mój ojciec, Seweryn Goszczyński i Jan Krechowiecki. Ta miniatura, stare dzieje, ale można już dziś mówić o tem. W 1830 r. kochała się w moim ojcu pewna dama i dla niej i na jej żądanie zrobiono wtedy tę miniaturę. Zachowała ją aż do śmierci i dopiero testamentem ka-

zała mi ją odesłać, jako pamiątkę rodzinną.

Bohdan Zaleski, Zawsze widziałam jego portrety, jako poważnego starca z długą brodą. A tu młody ułan, romantyczna miniatura. Jakże miałam poznać? Ale pytam dalej:

— A pan znał Seweryna Goszczyńskiego?

— Naturalnie, że znałem. Przychodził do ojca, zbierali się też wtedy często emigranci polscy w pewnej małej restauracji, gdzie właściciel był Polak i gdzie były zawsze polskie potrawy. Seweryn Goszczyński, jak pani zapewne wie, wyjechał potem do Polski. Pamiętam, że miał wtedy jakiś wielki kufer, którego nie mógł zabrać ze sobą i zostawił u ojca. Mnie potem przypadło w udziale wysłać go do Polski.

— Czy Jan Krechowiecki to ojciec znanego potem powieściopisarza Adama?

— Tak, i ta przyjaźń spadła później z ojców na synów, bo Adam Krechowiecki był moim serdecznym przyjacielem. Zawsze mnie odwiedzał w Paryżu.

Z czarnych ramek wygląda smutna twarz z dużymi wąsiskami, dowiaduję się, że to przyjaciel rodziny, podwójny rewolucjonista polski, poległy w boju, dalej jakaś stara litografia i trochę zblakłe fotografie, między innymi matka gospodarza, żona Bohdana Zaleskiego, Zofia Rozengarten.

— Matka moja — mówi Dyonizy Zaleski — zostawiła bardzo ciekawy dziennik, ale zabroniła go ogłaszać. Są tam między innymi szczegóły o towarzysztwie polkiem na emigracji w pierwszych jej latach, bo matka, przyjechawszy do Paryża, mieszkała przez czas jakiś u Klementyny z Tańskich Hofmannowej, u której w Passy gromadziła się dużo osób.

— Biedna Hofmannowa — zauważam — jej ładny pomnik jest teraz w oplakanyim stanie i gwałtownie domaga się naprawy.

— Wiem o tem, i nie on jeden. Na innych grobach też zacierają się napisy, odpadają kawałki rzeźb. Teraz niewielkim kosztem dałoby się naprawić, potem już wszystko będzie na nic.

— Wznawia się dawną instytucję opieki nad grobami polskimi we Francji. Trzeba mieć nadzieję, że i w Polsce sobie o nich przypomną i pomogą nam także.

— Przedtem czuwali nad tem emigranci, ale jak pani wie, wszystko to wymarło: Gasztowt, Rubach-Szawklis, Cieszkowski...

— Mój dziadek wujeczny.

— Od czasu do czasu zbierali się i mówili sobie: trzeba naprawić to i tamto, składali się i reparowali, co było potrzeba. Ale dziś ich już nie ma. Te groby, które utrzymuje w porządku rodzina, jak nasz, oczywiście nie potrzebują naprawy, ale ileż takich jest?

Myślę jednocześnie o strasznym prawie, które niedawno uchwalił parlament francuski: każdy grób, choćby kupiony na wieczność (concession à perpétuité), jeżeli jest opuszczony od lat 10-ciu, będzie skonfiskowany, a miejsce zostanie nanowo oddane na inny grób. Ile grobów polskich dawnych i opuszczonych może paść ofiarą takiego prawa. Wszak o zniesieniu grobu będzie tylko naklejone obwieszczenie na murze cmentarnym. Kto je przeczyta? Kto się tem zajmie? Wprawdzie prasa francuska protestuje energicznie przeciw takiemu barbarzyńskiemu prawu, ale nim je zmienią, wiele mogił zostanie zniszczonych.

Nie chce mi się zasmucać temi przewidywaniami staruszka, ale nie chce mi go się też pocieszać znanem „jakoś to będzie“. A on dodaje zamysłony:

— Są groby, są stare papiery, które wartoby uchronić od zniszczenia. Ja zrobiłem, co mogłem, ale teraz już sił nie mam i ledwie do Ogrodu Luksemburskiego czasem wyjdę na słońce. Bo widzi pani, to wszystko nas łączy z przeszłością, to wszystko jeden ciąg naszych dziejów.

Wychodzę na ulicę. Mży drobniutki deszcz jesienny. Na wózkach pachną ostrą wonią ostatnie, rdzawe chryzantemy. Za mną szara kamienica i kawałek przeszłości polskiej, taki żywy:

„wygnańcy, co z Polski zrobili nazwiska, pacierz co płacze i piorun, co błyska“.

Gdzie ja byłam? w Polsce z 1830 r., czy w szarej kamienicy paryskiej z 1930 r.?

Dr. M. Kastarska.

W związku ze wzmianką o grobach polskich wygnańców dodać warto, że dnia 28-go listopada r. z. zebrało się u Ambasadorowej Chłapowskiej grono ludzi dobrej woli i zdecydowało wskrziesić dawny emigracyjny Komitet Opieki nad grobami polskimi we Francji, zając się uporządkowaniem ich dokładnej listy, zbieraniem składek i naprawą grobów. Wszelkie składki na ten cel kierować można albo do Ambasadorowej Chłapowskiej: Avenue de Tokio 12, Paryż, albo do skarbnika p. Szymańskiego, Boulevard de Latour-Maubourg, 100, w Paryżu. Rodziny, mające groby na cmentarzach paryskich, dobrzeby zrobiły, podając ich nazwiska, zostaną w ten sposób poinformowane o stanie tych grobów.

Najprawdziwszy obraz życia
daje książka

„Za białą ścianą”

J. Korczakowskiej

Cena 1 Zł. 20 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz”
Solec 87, i Świętokrzyska 17 m. 3
oraz we wszystkich księgarniach.

... „Współczujesz mi, droga Zosiu”

że naskutek służbowych przesunięć mego męża, znalazłam się na głuchej prowincji, zdala od dobrodziejstw cywilizacji stolicy. Insynuujesz, nie bez uroczej złośliwości, że pewnie w krótkim czasie przeobrażę się w czcigodną i przedwześnie zwiędłą matronę. Otóż nic z tego, kochanie. W matronę — być może, ale w matronę tryskającą zdrowiem i olśniewającą niepodrabianą świeżością cery. — Jak uda mi się to osiągnąć bez fachowej pomocy? Przepis nieskomplikowany.

Do mycia używam wyłącznie Mydeł Przetłuszczonych M. Malinowskiego. — Pudruję się tylko „Pudrami Hygienicznymi” M. Malinowskiego. — Na dzień, pod puder stosuję „Krem sportowy” M. Malinowskiego. — Na noc po dokładnym umyciu twarzy „Krem Lanolinowy” wyrobu tegoż Laboratorjum. Jeżeliś ciekawa rezultatu — przyjedź zobaczyć“...

Apteka, Warszawa, Nowy Świat 31.
Lab. Chem. Farm., Chmielna 4.

Starościny

Jako żona pierwszego urzędnika w powiecie, starościna ma obowiązki reprezentacyjne i społeczne, korzysta zaś z pewnych przywilejów i wpływów, które przedewszystkiem zależą od jej osobistego taktu i inteligencji. To jest jasne, oczywiste i zrozumiałe. Na całym świecie żony prowincjonalnych dygnitarzy odgrywają taką mniej więcej rolę.

Nasze starościny w Polsce w szczególny sposób jednakże pomnożyły i rozszerzyły zakres swych obowiązków społecznych i wybiegły swą samodzielnością poza koło trosk żony urzędnika. Stało się to

przedewszystkiem dlatego, że w Polsce, budującej z pośpiechem swą państwowość i swe placówki społeczne i gospodarcze, odczuwać się wciąż daje brak działaczy, mogących poświęcić swój czas i siły na organizowanie życia społecznego. Nauczycielstwo i inteligenci, umysłowo górujący nad przeciętną masą ludności miast i miasteczek, pochłonięci są przedewszystkiem obowiązkami pracy zawodowej i przeładowani (zwłaszcza nauczycielstwo) akcją oświatową i organizacyjną, kierowaną z centralnych ośrodków. Na sprawy miejscowej inicjatywy, na poczynania, wyni-

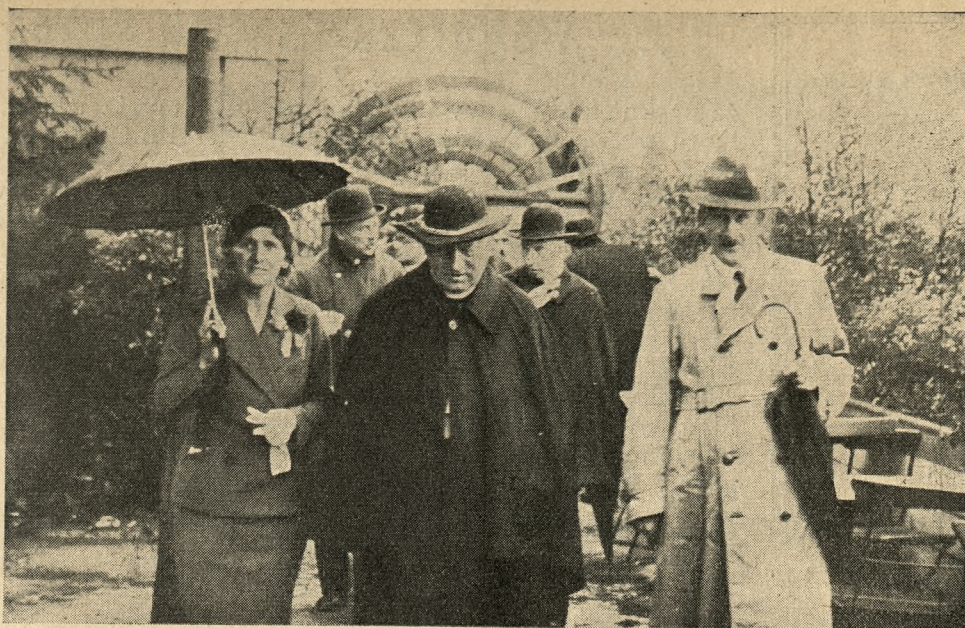
kające z potrzeb i dążeń najbliższego kręgu interesów — wprost już niema czasu, ani sił.

Na tem tle praca społeczna starościny nie jest uważana za jakiś wyjątkowy czyn, za przejaw dobrowolnie podjętej akcji — poprostu weszło w zwyczaj, że starościna musi wziąć na siebie poważną porcję pracy społecznej, że żąda się od niej organizowania placówek społecznych, prowadzenia ich i że za powodzenie lub niepowodzenie rozwoju społecznego w powiecie jest ona właśnie odpowiedzialną.

Starościna stała się więc poniekąd „urzędnikiem społecznym” —



Z wystawy ogrodniczej w Gnieźnie.



Ks. Biskup Laubnitz, oprowadzany przez p. starościnę Suską po wystawie ogrodniczej w Gnieźnie.

jeżeli tak można nazwać kogoś, kto bez mianowania jest przeznaczony do dużych obowiązków i dużej odpowiedzialności, a nie otrzymuje wzamian ani płacy, ani stanowiska. Splecenie obowiązków żony starosty z karierą męża jest bardzo ścisłe, a całą ofiarną część tej kombinacji ponosi kobieta, która popełniła nieostrożność, lub też miała szczęście (jak się komu podoba to ocenić) poślubienia urzędnika administracji państwowej.

Licząc na jakieś wrodzone uspołecznienie żon starostów, polegając prosto na ich kobiecej intuicji i sercu, popełnia się zapewne zasadniczy błąd w obrachunku i przewidywania nieraz muszą zawieść. Przecież nie każda żona starosty ma odpowiednie przygotowanie, charakter i zdolności organizacyjne, konieczne do pracy społecznej. Ale jednak wśród żon starostów znalazł się niespodziewanie pewien odsetek kobiet, które wydołyły z siebie zasób energii, nieprzewidywanych zdolności do pracy i dokonały rzetelnych zmian na lepsze w życiu prowincji, budząc i koordynując drzemające siły, podnosząc dobrobyt ludności, szerząc oświatę i wprzęgając do obywatelskiej akcji zastępy kobiet i młodzieży w całym kraju.

Najczęstszą i najpospolitszą pracą społeczną starościny jest opieka nad matkami i dziećmi. Organizowanie i opieka nad żłobkami, ochronkami, przedszkolami, dożywianie dziatwy szkolnej — prace „macierzyńskie” mają dużo znaczenia dla dobra ludności, często bardzo biednej i ciemnej, w różnych zakątkach kraju, do których dotrzeć może tylko miejscowa władza i miejscowe działaczki.

Druga dziedziną — to organizacje kobiece. Tu już mniej łatwo, często

niewygodnie, często opornie, często z przeszkodami natury politycznej musi się borykać działaczka i niejedna w tej robocie społecznej doznaje więcej goryczy, niż radości, niejedna zaś wyrządzi organizacji więcej szkody, niż pożytku.

Dobrze, jeśli uda się zjednoczyć kobiece organizacje do prac o charakterze humanitarnym i ogólnym — jak pomoc dla bezrobotnych i dla powodzin, słabowitych dzieci, propaganda lotnicza i t. p.

Bardzo ważna w życiu prowincji praca gospodarza, nie jest łatwiejsza od innych. Wymaga zamiłowań specjalnych, zdolności i wiadomości bądź co bądź fachowych, ale jest bardzo potrzebna i oczywiście pożyteczna w czasach bezrobocia, które pogrążyło wieś i miasto w ekonomiczną niedolę. Ale czyż starościna w swym arsenale społecznym znajdzie broń przeciw tym klęskom?

Zetknęłam się niedawno z dwoma żywymi przykładami takiej pracy starościny. Na wsi kujawskiej na dożynkach, pod Włocławkiem spotkałam młodą, pełną wdzięku kobietę, w błękitnym kabacie Kujawianki, naradzającą się pilnie i rzeczowo z innymi gospodyniami miejscowymi. Zmowa kobiet wydawała mi się tam doskonale szarmonizowana i rzeczywiście Koła Gospodyń Wiejskich w tym powiecie są od pewnego czasu ośrodkami żywej pracy gospodarczo-społecznej. Sercem i sprężyną tych poczynąń jest żona starosty, pani Halina Murmyłło, tak doskonale czująca się w wiejskim, a dostojnym kabacie i czepcu Kujawianki.

Koła Gospodyń Wiejskich powiatu włocławskiego prowadzą kursy gospodarcze, kursy szycia i robót ręcznych, kursy serowarstwa, prowadzą świetlice, jako środowiska

kulturalnej i rozrywkowo-towarzystwej akcji. Od kobiet wiejskich słyżałam radosne słowa o tem, jak zupełnie inaczej toczy się teraz życie wsi, gdy działają organizacje, skupiające ludzi do pożytecznej i kulturalnej pracy, gdy wieś jedna z drugą żyje po sąsiedzku, odwiedza się na uroczystościach i zabawach, gdy można pożyczyć i przeczytać książkę z czytelnii... Nie mówiono nawet o korzyściach materialnych, które niewątpliwie są bardzo istotne, bo umiejętność gospodyni odrazu wyjawia się w dochodzie: a to z pasieki dobrze prowadzonej, a to z wyrobu serów, to znowu z haftów, czy z dobrego wychowu bydła lub kur.

Nic może nie jest bardziej przekonujące o potrzebach i dążeniach wsi, która pragnie nade wszystko kultury i dobrobytu, nie tylko materialnego, lecz i duchowego, jak takie opinie o działalności skromnej organizacji Kół Gospodyń Wiejskich. Nic nie jest bardziej przekonujące i słuszne, jak tego rodzaju działalność starościny, która chce i umie organizować tę pracę od podstaw.

Koła Gospodyń Wiejskich pokazały niedawno Warszawie, co robiły na wsi. Wystawa urządzona w salach Doliny Szwajcarskiej, dała obraz gospodarczej pracy kobiet wiejskich i planowych dążeń do podniesienia rolnictwa, ogrodnictwa, hodowli i przemysłu domowego wsi.

Drugie doświadczenie gospodarczej pracy starościny widziałam w gnieźnieńskim. P. Helena Suska, żona starosty w Gnieźnie, stoi na czele akcji oświatowej Polskiego Białego Krzyża dla garnizonu miejscowego, interesuje się czynnie opieką nad dziećmi i matkami, lecz główny jej wysiłek jest skierowany ku gospodarczym zagadnieniom po-

wiatu. Zorientowawszy się, że ludność tamtejsza chętna jest do realnej pracy gospodarczej p. Suska założyła Towarzystwo Miłośników Ogrodnictwa, aby rozwinąć tę niewykorzystaną jeszcze gałąź produkcji, przynoszącą duże i doraźne korzyści uboższej ludności.

Zamiłowana osobiście w pracy na roli i w ogrodzie, dzielna działaczka potrafiła wzbudzić zapał do tej sprawy, a co jest olbrzymią zasługą — umiała zjednoczyć w imię gospodarczego rozwoju powiatu wszelkie czynniki: zarówno ziemiaństwo, jak drobnych rolników, gospodynie wiejskie i nauczycielstwo, ziemianki i przysposobienie rolnicze, a do pomocy wciągnąć fachowców i prasę wszelkich odcieni i ugrupowań. Społeczeństwo powiatu gnieźnieńskiego wykazało w tym wypadku dużo dobrej woli i zrozumienia wspólności interesów gospodarczych.

Po niespełna dwu latach wyężonej pracy, Gnieźnieńskie Towarzystwo Miłośników Ogrodnictwa zaprezentowało swój dorobek na niedawno urządzonej I-szej Wystawie Ogrodniczej w Gnieźnie. Wystawa, której patronowała Wielkopolska Izba Rolnicza, oprócz popularyzacji ogrodnictwa i wskazania dróg racjonalizacji kultury i produkcji ogrodniczej, odegrała rolę handlową, dzięki targom na owoce i warzywa, jakie odbywały się na Wystawie.

Otwarcia wystawy dokonał biskup gnieźnieński, ks. Ant. Laubitz,

w obecności przedstawicieli władz, Izby rolniczej, organizacyj gospodarczych i licznych gości. Na terenach odkrytych wystawy (10.000 mtr.²) urządzono wzorowe ogródki, pokazowe szkółki drzew, ogródek szkolny i t. p. Na salach znalazły się eksponaty przemysłu, związane z ogrodnictwem, przetwory, artykuły gospodarcze, nasiona, stoiska ogrodniczych firm i ogrodnictwa miejskiego, oraz eksponaty prywatnych producentów i stowarzyszeń, wreszcie instytucyj naukowo - doświadczalnych. Najpiękniejsze były stoiska: gnieźnieńskiego koła Ziemianek (owoce, warzywa, kwiaty), „Rolnika“ w Gnieźnie (produkcja rolnicza) kół Włościanek gnieźnieńskich, Przystosobienia Rolnego pow. gnieźnieńskiego i niektórych firm kwiatowych.

Na Wystawie rozdano bezpłatnie 5.000 egzemplarzy „Poradnika Sadowniczego“ wydanego przez Tow. Miłośników Ogrodnictwa, a zawierającego program wystawy, doskonale ujęte wskazówki fachowe i zachętę do pracy ogrodniczej. Na wystawie odbyły się dla 4.000 dzieci szkolnych popularne pogadanki o sadownictwie, odczyty dla dorosłych, w kinie wyświetlano obrazy ogrodnicze. Odbył się zjazd Ziemianek z Wielkopolski, oraz zjazd Kółek rolniczych i kół Wieśniaczek. Wystawa była zwiedzana bezpłatnie przez żołnierzy - rolników garnizonu gnieźnieńskiego, 11.000 osób

w ciągu 4-ch dni zwiedziło wystawę, która niewątpliwie przyczyni się do wzmożenia pożytecznej akcji.

Obecnie Tow. Miłośników Ogrodnictwa w pow. gnieźnieńskim liczy 1.250 czynnych członków. W ciągu ostatniego roku założono 10 wzorowych sadów w powiecie, ogłoszono 28 referatów fachowych wobec przeszło 1.200 słuchaczy, zorganizowano 4 kursy (500 osób) i przeprowadzono 15 pokazów przy udziale blisko 900 osób. Przeprowadzono pielęgnację w 29 sadach i spryskiwania, chroniące przed szkodnikami, w 43 sadach. Udzielano porad na łamach prasy, która umieściła pozatem blisko 60 artykułów. Jest to praca pozytywna, gospodarza i dlatego popierają ją zarówno władze, jak i społeczeństwo. Za parę lat gnieźnieńskie owoce i warzywa mogą być sławne na całą Polskę, gdy uprawa i racjonalna kultura ogrodnicza i sadownicza poczyni dalsze postępy.

Oto zachęcające przykłady dzielnej pracy naszych „urzędników społecznych“, starościn, które potrzeby czasu wyniosły do roli odpowiedzialnych działaczek społecznych, dając świadectwo faktowi, iż kobieta nie może dziś poprzestać na trosce o domowe tylko ognisko. Bo nawet, gdyby chciała pozostać w „zaciszu“, obowiązek obywatelski wyrwie ją na arenę pracy publicznej.

J. Kravczyńska.

Dwa dni wśród K.O.P. na Polesiu

(Zdjęcia autora).

14 października, w dniu kiedy Korpus Ochrony Pogranicza obchodził 10-lecie swego istnienia, znalazłem się wraz z paroma kolegami po pendzlu i piórze w bataljonie Ludwikowo na Polesiu.

Jest to na końcu cywilizowanego świata, a w każdym razie na krańcu Europy. Ściślej: na linii kolejowej między Baranowiczami a Łunińcem znajduje się stacja Hancewicze, skąd kolejką leśną Radziwiłłów można dostać się do Ludwikowa. Blisko, zaledwie 40 kilometrów.

Ludwikowo jest punktem wypadowym do objazdu granicy, jaki przedsięwzięliśmy w poniedziałek 15. X. Tymczasem (jednak 14 października różnorodny program obchodu uwzględnił wyjazd do odległej o 3 kilometry wsi Czudzin, gdzie w szkole odbyła się uroczystość obdarowania dzieci poleszuckich upominkami przez KOP.

Izba szkolna była po brzegi zatłoczona przez drobiazg ludzki, wglę-

bi tkwiło kilka kobiet w jakichś specjalnych, złotem przetykanych czółkach na głowie, i paru mężczyzn. Na pierwszym planie nieliczne „ciało nauczycielskie“, stół z paczkami ksiązek na nim i koszami torebek, napełnionych cukierkami oraz kawalki perkalu na sukienki dla najbiedniejszych.

Czekano na przyjazd dowódcy bataljonu i gości. Uroczystość zaczyna się przemówieniem p. adjutanta. Mówi głośno, wyraźnie, lecz — niestety — dla małych słuchaczy niezrozumiale. W tych wypadkach trzeba się zdecydować, czy się przemawia do nielicznej gromadki inteligencji, czy do setki dzieciaków...

Potem dzieci śpiewają i to dobrze śpiewają. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że wszystkie śpiewane przy nas piosenki były strasznie wojownicze. Rozumiem, że powinny być patriotyczne, ale żołnierskich nauczą ich w wojsku.

To jest ostatni dzień na słonecznym

obrazie Polesia, jaki utrwalił się w mej pamięci.

Tymczasem zbliża się kulminacyjny punkt uroczystości: nauczycielki i p. kapitan przystępują do rozdawnictwa torebek z cukierkami. Powstaje mały tłok, zamieszanie, p. kapitan przestrzega, żeby nie brać po dwie torebki... Jeden z malców przyznaje się do nadwyżki i w nagrodę pozwalają mu ją zatrzymać.

Przed nami jakieś maleństwo, mające 4—5 latek, straszliwie zafrasowane: nie otrzymało cukierków i nie może się dostać do ich źródła. Starsi i więksi wciąż je odpychają. A nuż zabraknie i wtedy cała uroczystość, całe wyczekiwanie i wszystkie nadzieje na nic!

Wreszcie już ją ma, już trzyma torebkę w garści. Chcąc mu wynagrodzić niepokój, dajemy malcowi i kilku innym po 20 groszy. Na Polesiu to gruby grosz i dzieciaki mocno zaciskają monetki w garści, ści-

gani wzrokiem kolegów: „Skolko, skolko?”

— Dwadcać — odpowiada brzdąc. Można z całą pewnością twierdzić, że takiego kapitału, jak żyje, nie posiadał.

Kiedy wzburzone cukierkami fale namiętności cichną, przed stół z darami wychodzi chłopiec lat może 12 i zaczyna deklamować wiersz. Wiersz jest wojskowy, słyhać w nim echa marszu i trąbki, lecz młody Poleszuk deklamuje dziarsko, patrzy na nas śmiało, mówi po polsku dobrze, to też nagradzamy go „burzą” oklasków, a dowódca bataljonu i przedstawiciel starostwa obdarzają deklamatora pieniężnym „maharyczem”.

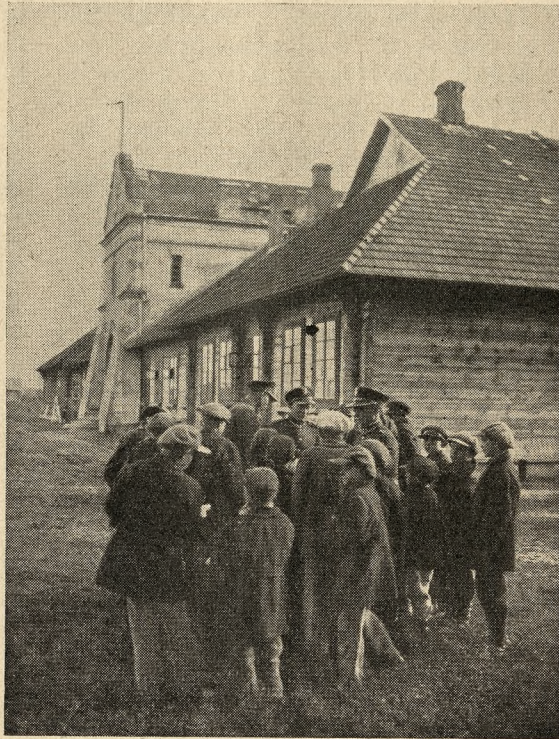
W programie jeszcze rozdawanie książek i zeszytów — rzecz bardzo ważna, gdyż rzadko które dziecko stać na kupienie własnych. Bywa i tak, że uczeń „zwędzi” w domu kilka jaj i wymienia je w sklepiku na niezbędne pomoce szkolne. Pęd do oświaty jest tak wielki, że nietylko istniejące szkoły są przepelnione, ale i dla dużej ilości dzieci brak miejsca, co jest szkoda nie do powetowania.

Wieczorem bataljon podejmował przedstawicieli duchowieństwa obu wyznań, nauczycielstwa i miejscowej inteligencji kolacją. Wygłoszono szereg mów, ale ku naszemu zdumieniu najpłynniej, w najbardziej patriotycznym duchu mówił stary prawosławny pop, kończąc toastem ku czci p. Marszałka Piłsudskiego. Trudno było nie pomyśleć o tem, jakie było usposobienie tego duchowieństwa przed 20 laty, kiedy ten sam Józef Piłsudski rozpoczął orężną walkę o obecną Rzeczpospolitą.

Siedzący obok mnie młody pop, który kończył wydział te-



Rozmowa z dowódcą.



Rozdawnictwo chleba.



Krajobraz poleski.

ologiczny na uniwersytecie warszawskim i korzystał ze stypendjum rządowego, zapewnił niżej podpisanego o swej lojalności względem państwa polskiego i zachwycił się Warszawą, oraz warszawiankami. Cóż za przewrotne istoty, aby czar swój rzucić nawet w serce pasterza owieczek polskich!

Swą drogą wruszająca była komitywa i przwiazna pogawędka — może tylko na gruncie towarzyskim? — księdza i batjuszki, przedstawicieli od wieków zwalczających się kultów.

Korzystam ze sposobności, aby podkreślić serdeczną gościnność bataljonu Ludwikowo, który potrafił dowieść, że staropolskie cnoty nie wygasły jeszcze i obrał sobie siedzibę właśnie wśród oficerów bataljonu oraz kompanji Pieszczańka, o której zresztą poniżej.

Nazajutrz przed południem załadowaliśmy się na półciężarowy samochód i p. major powiół nas na objazd odcinka. Trudno uwierzyć, jakimi drogami posuwał się nasz Chevrolet! Przez pola, przez groble („kto tę groble zbudował?” „KOP?” „A ta linja telefoniczna?” „KOP’u”... i t. d.), przez wąskie leśne ścieżynki dotarliśmy do samej granicy polsko - bolszewickiej. Za rzeką — że ręką sięgnąć — stał słup graniczny z godłem Związku Sowieckiego.

Nigdy nie mogę się oprzeć dziwnemu wrażeniu jakiejś bezcelowości i nietrafności poczynań ludzkich. Ot, naprzeciw siebie stoją dwa słupy, malowane w różne kolory i z różnymi emblematami. Przedziela je wąski pasek neutralnej ziemi, za którym znajduje się diametralnie różny ustrój państwowy, a i życie ludzkie płynie zgoła innym korytem...



Dzieci poleskie na święcie K. O. P. w Ludwikowie (14.X).

Dzień był piękny, pogodny. Cóż za rozkosz siedzieć w otwartym samochodzie, patrzeć na zmieniający się ustawicznie krajobraz i, nadstawiając twarz na porywy chłodnego już, jesiennego wiatru, odczuwać jak nigdy rozpiekającą pierś radość życia!

— Pokażę panom nasze curiosum — powiada p. major, — jest to 103 - letnia staruszka. Niedawno wybrała się do Rosji Sowieckiej, ale po kilku dniach splawili ją z „kolchoza“, dodając komentarz, że „tutaj trzeba pracować“...

Kiedy potem rozmawiamy bardzo głośno ze starowiną, która w uśmiechu pokazuje swój jedyny ocalały ząb — zastanawiam się, co jednak będą poczynać dzisiejsi bojownicy kolektywizacji, gdy czas i praca pochyli im barki, odejmując resztki krzepkości? Czy „przerzucą“ ich za granicę do któregoś z ościennych państw?

Babcia wyszła jak szczapa, a skórę ma bladą, jak pergamin. Trudno uwierzyć, że urodziła się w roku powstania listopadowego.

W niektórych miejscach okolica wyglądała tak, jakbyś się, człecze, poza Mazowsze czy Podlasie nie wychylał wcale, ale czasami całe kilometry jechało się wzdłuż ponurych bagien, których KOP. nawet nie pilnuje, bo i poci? I tak tu nikt nie przyjdzie. Kępy mchu wysterczały z czarnej topieli, upstrzonej małemi oknami wody; na suchych miejscach wyrastał las: rachityczne brzoźki i nędzne sosny, co nigdy nie urosną wzwyż, ani grubość ich nie przekroczy ręki ludzkiej.

Chłopi zajęci są pracą przy budowie. Jak Polesie Polesiem nikt nie myślał o tem, by budować takie gminne drogi. Wyprostowują liczne skrzyżowania, kopią rowy, podnoszą poziom nawierzchni. W pewnym miejscu, w błocie, grzęźnie nasza Chevroletka i wzywamy do pomocy gromadę robotników, którzy wypychają samochód



Domódca bataljonu K. O. P. (Ludwikowo) rozmawia ze 103-letnią staruszką.

na suchsze miejsce. Porucznik P. obdarza ich zato pudełkiem papierosów. O, pewnie dawno nie palili równie dobrych, to też zbiegają się ze wszystkich stron.

Słońce już zachodziło, gdy stanęliśmy przy 33-metrowej długości kładce, przerzuconej na wzgórze, zwanej w „Kopowej“ gwarze „Kikimora“. Skąd się tu, wśród tylu bagien wzięło to wzgórze, na którym jeszcze niedawno mieszkał jakiś Poleszuk?

Polesie, to dziwny, ciekawy kraj, który potrafi, jak żaden inny, wziąć serce ludzkie w niewolę. Tu wszystko jest odrębne, pełne niezwykłego czaru, niezmaconej ciszy i wolne od zgiełku dzisiejszego życia. Gdy szliśmy tak „gęsiego“ kładką — wzrok gubił się w szaro - zielonej bezkresnej równinie, pogarbionej jeno kopami siana, którego nie zbiorą tu aż zimą, gdy mróz skuje niedostępne w lecie dla konia bagna.

Z wysokości bocianiego gniazda patrzyliśmy wokół. Granica tuż. Dalej, na horyzoncie, już w Sowietach, majaczy komin jakiejś fabryki, jakieś miasteczko, ale pas przygraniczny wydaje się być bezludny.

Zmierzcza się. Czas do domu. Ale w KOP-ie tak łatwo obcych nie wypuszczają. P. porucznik B. prosi nas „na herbatkę“... Mój Boże, jak żyję takich specjalistów nie jadłem. Ze skrucą przyznają się, że nie jedliśmy, ale formalnie obżeraliśmy się. Niechże więc całodzienny pobyt na świeżym powietrzu, wytrzęsienie się na samochodzie i jakoś tych pasztetów, faszerowanych jajek, oraz pieczonych dzikich kaczek (uwaga na to, jak umiejętnie piętrzę argumenty, mające usprawiedliwić ten grzech główny!) będą wytłumaczeniem mieszczuchów, którym było dane zetknąć się z niefałszowanym, poleskim egzotyzmem.

Jerzy K. Maciejewski.



Podczas święta K. O. P. bataljon Ludwikowo podejmował obiadem gości i rzeszę dzieci poleskich.

Echa poznańskie

Na Stary Rynek idzie mieszkanka Poznania po nowe, niedrogie buciki, lub cztery metry jedwabiu na modną sukienkę... Stary Rynek to konfekcja, bławaty i rozgadane przekupki z pękami kwiatów przed pięknym, renesansowym ratuszem.

W sąsiedztwie tego codziennego, szarego „business'u” Poznania, w kleszczach ruchliwych magazynów odbyła się w czwartek 18 października historyczna chwila otwarcia Pałacu Działyńskich dla kulturalnego życia stolicy Wielkopolski.

Biało-różowa sala kolumnowa jest wielkim salonem, o bardzo proporcjonalnych wymiarach. Na uroczysty dzień przybrano ją żółtymi pióropuszami chryzantem i zielenią.

Pokonawszy zwycięsko piętzące się przeszkody i trudności, Związek Zrzeszeń Artystycznych dopiął celu. Przez usta swego prezesa Dra Zenona Kosidowskiego wyraził w zwartych słowach swoje plany i zadania. Na czwartkowych posiedzeniach pragnie omawiać najbardziej aktualne zagadnienia świata artystycznego. Do współpracy chce wciągnąć najwybitniejsze siły współczesnej Polski. Dla Poznania i Wielkopolski będzie ogniskiem wszystkich poczynań kulturalnych — w miarę potrzeby — będzie regulo-

wać ogólny poziom imprez artystycznych. Do współpracy wciągnie także prowincję, organizując z mniejszych miast gęstą sieć ośrodków kulturalnych ze stałymi korespondentami. W projekcie są objazdowe wystawy malarstwa, książek, koncerty. W najwyższych sferach politycznych i społecznych spotkała się poznańska inicjatywa z wielkim uznaniem. Dowodem przybycie na tę uroczystość p. Ministra W. R. i O. P. Jędrzejewicza, J. E. ks. biskupa Dymka, oraz prezesa Polskiej Akademii Literatury Wacława Sieroszewskiego.

Nowomianowany prezydent miasta plk. Więckowski, poważne grono profesorów Uniwersytetu Poznańskiego i Wyższej Szkoły Handlowej swoją obecnością zaświadczyli gotowość współpracy w murach starego pałacu.

Przemówienie p. prezydenta plk. Erwina Więckowskiego było nacechowane radosnym entuzjazmem, że rodzi się wielka rzecz, która dla dziejów kultury polskiej może mieć doniosłe znaczenie.

„Poznań pławi się dziś w blasku odrodzonego Państwa Polskiego i najwyższego szczęścia wolności, a po tak ciężkiej pracy stulecia i wśród ciężkiej pracy dnia dzisiej-

szego, pragnie jednak odetchnąć słońcem, radością, pięknem duchowym, które daje poezja, muzyka, plastyka i inne działy twórczości artystycznej”.

Pan Minister Jędrzejewicz wyraził — wśród entuzjazmu zebranych — życzenia Rządu Polskiego dla nowej placówki kulturalnej. Stwierdził, że powstanie tego wspólnego ośrodka pracy artystycznej świadczy o bujności życia duchowego Wielkopolski. Inne miasta naszego kraju mogą wzorować się na energii i woli Poznania w skonsolidowaniu wysiłków.

Witany burzą oklasków stanął na mównicy sędziwy prezes Polskiej Akademii Literatury Wacław Sieroszewski. Nazwał Poznań przedmurzem Polski. Mówił o bogatym życiu kulturalnym tego miasta w przeszłości. W drugiej połowie ubiegłego wieku życie to ogniskowało się właśnie w pałacu Działyńskich. Mury odnowionej dziś sali słyszały mądre słowa Libelta, Cieszkowskiego, gromadziły ludzi, którzy pragnęli szczerze postępu myśli polskiej. Do tej tradycji nawiązuje dzisiejszy Poznań. I dlatego Polska Akademia Literatury wyraża mu słowa uznania i podziękę za te poczynania.



Sala w Pałacu Działyńskich w Poznaniu.

(Fot. Ulatowski, Poznań).

Druga, artystyczna część uroczystości była zrecznie zestawioną próbka sztuki poznańskiej, tej, która idzie...

„Tak poprostu, bez emfazy“ zadeklamował dyrektor Teatru Polskiego Boelke okolicznościowy wiersz Jana Sztauđyngera. Ze zwykłą sobie prostotą wyraził autor myśli, jakie nasuwają się w związku z otwarciem Pałacu Działyńskich.

Muzyczna część spoczywała w ręku profesorów konserwatorium oraz znanej pianistki p. Nadzieji Padlewskiej. Odegrali utwory Feliksa Nowowiejskiego, Kamińskiego, Padlewskiego, Kasserna i Posadowskiego.

Bezsprzecznie największe wrażenie wywarł na słuchaczach zadeklamowany przez p. Zaklicką wiersz poety poznańskiego Baka p. t. „Tylko dlatego“. Swoista liryka patryjotyczna spłotła się w tym utworze z silnymi imperatywami męskich wierszy. Jest to pochwała języka ojczystego i radość z jego posiadania. A głos i dykcja p. Zaklickiej okazały się idealne dla interpretacji pięknych przenośni poetyckich.

Oglądając salony pałacu, omawiano z ożywieniem poszczególne części wykonanego przed chwilą programu.

Uroczysty i radosny nastrój pastelowej sali kolumnowej przeniósł się do wszystkich apartamentów, urządzonych z wielkim smakiem i starannością. Kilimy, obrazy, meble w najróżniejszych stylach: od prostej, prymitywnej świetlicy staropolskiej przez miękkie kanapki z „fin de siècle“ do najbardziej nowoczesnych stolików przy lampach z modnymi abażurami.

Będzie tam naprawdę sympatycznie i zupełnie „jak w domu“, gdyż o bufecie z herbatą także nie zapomniano.

Do pogawędki zasiadł w tym nastrój pan Minister Jędrzejewicz z nestorem literatów polskich Wacławem Sieroszewskim, który promieniał humorem i zadowoleniem.

* * *

Po szerokich, dywanem zasłanych schodach pałacowych schodzę znów w zgiełk i gwar Starego Rynku. I nagle, dziwię się, że ów piękny, stylowy przybytek kultury nie leży w arystokratycznym odosobnieniu, lecz „wrzyna“ się w zdeptyany bruk interesu... Lecz może jest to symboliczny prognostyk, że promienie duchowego życia — wyszedłszy z tych murów — przenikną do najszerzych warstw wielkopolskich. I przebijając będą twarzą skorupę filisterskiej codzienności.

* * *

Na rogach ulic afisze Teatru Nowego krzyczą: „Zwyciężyłem kryzys“. Wtórować im śmiało może Związek Zrzeszeń Artystycznych i za operową reklamą powtarzać: „Piękny jest świat“ (Lehara), oczywiście piękny dla tych, którzy energicznie potrafią swe zamierzenia w czyn wprowadzać.

Zofja Karczevska.

Z teatrów

„Taniec“ Grubińskiego w teatrze Małym.

Czy pamiętacie „Grube ryby“ Baluckiego? Każdy z nas, starszy czy młodszy, zaśmiewał się z tych niewczesnych załotów dwóch jegomościów, z których sypało się próchno, a oni brali je optymistycznie za iskry jurnej młodości. Nową, mało co uwspółcześioną wersję „starego pieca, w którym djabeł pali“, dał w „Tańcu“ Grubiński. Gdyby nie tusza Samborskiego, zresztą tym razem doskonale wzięta w karby, byłby to prawdziwy taniec szkieletów, fizycznych i moralnych.

Podczas, gdy bowiem dwaj leciwi i zacni konkurenci z „Grubych ryb“ ubiegają się pocziwie, choć bezskutecznie o rękę rozkwitających panienek, w „Tańcu“ tylko jeden ze starszych panów marzy o małżeństwie z pączuszką. Drugi, bardziej nowoczesny, uważa takie tradycyjne załatwienie sprawy za anachronizm. Śliczna nauczycielka i rówieśniczka jego młodziutkiej córki poprostu działa mu na zmysły. „Gruba ryba“ układa cały szatański plan, (jak z sensacyjnej powieści) aby pod najbardziej cnotliwymi pozorami zwabić dziewczynę do swego mieszkania, spoić ją, a potem samemu upoić się wiośną, aż do nasycenia. Że taki planik mocno traci kryminałem, to pana prezesa nie wzrusza. Ale w swoich „szlachetnych zamiarach“ wpływowa figura nie przewidziała jednego: czynnej a nawet groźnej opozycji dziewczęcia.

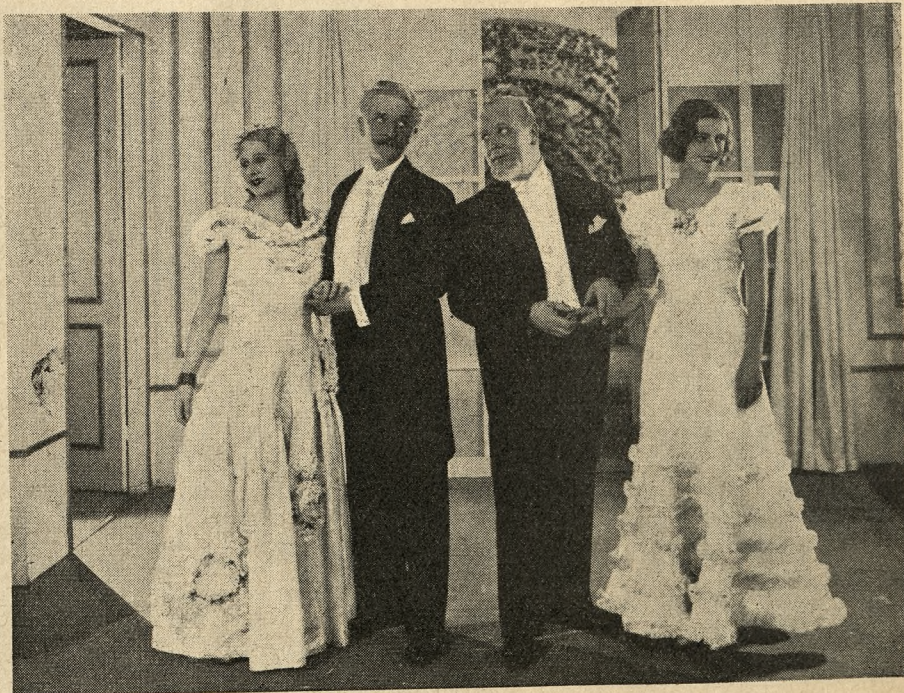
Rezolutna pannica, wróciwszy do przytomności pod otrzeźwiającym działaniem wstrętnych amatorów lubieżnego starca, wdrapuje się na kredens i bombarduje napastnika jego własnymi, z trudem przezeń kolekcjonowanymi wazonami. Jest to właściwie jedyny interesujący moment, pointa, dla której, zdaje się, cała sztuka została napisana. Komizm sytuacji, z kategorii „złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma“, jest zawsze niezawodny, choć, a może właśnie dlatego, że nie należy do kategorii najwybredniejszych. Panna opuszcza plac boju, jako triumfatorka i nawet przez pewien czas trzyma w szachu wściekłego, ale ciągle jeszcze do białości rozpalonego dostojnika.

Kończy się, jak przystało na beztróską krotkowiłkę, „happy end'em“. Obie panienki znajdują sobie bez trudu młodych chłopców i wychodzą za nich zamąż, jak Bóg przykazał, a dwaj rozromansowani „myśliwi“ będą pewno dalej prowadzić polowanie na kozy z naganką, aż do ostatecznego pudła.

Ta błahostka sceniczna, chwilami mocno zalatująca przedwojenną naftaliną, była świetnie wyreżyserowana przez autora i jeszcze lepiej zagrana. Samborski zrezygnował z rzeźniczej maski, był zbyt może czarującym i dobrotliwym starszym panem, niżby wypadało z roli. Grabowski wyzbył się manjery, był sentymentalny i ustepliwy. Miłą niespodziankę sprawił debiut młodej artystki p. Wasiutyńskiej, która z wdziękiem i naturalnością odtworzyła uroczą poskromicielkę męskiej bestji. Niestety, przykry timbre głosu klócił się z harmonijną sylwetką. Trzeba nad tem popracować, póki czas.

Nieco groteskową ale niezawodnie zabawną, była Gellówna, jako usłużna ciocia, zato kolekcja młodych bubków była tak banalna, jak... wazon na kredensie snobistycznego prezesa.

S. P. O.



Zeliska, Grabowski, Samborski i Wasiutyńska w „Tańcu“ Grubińskiego.

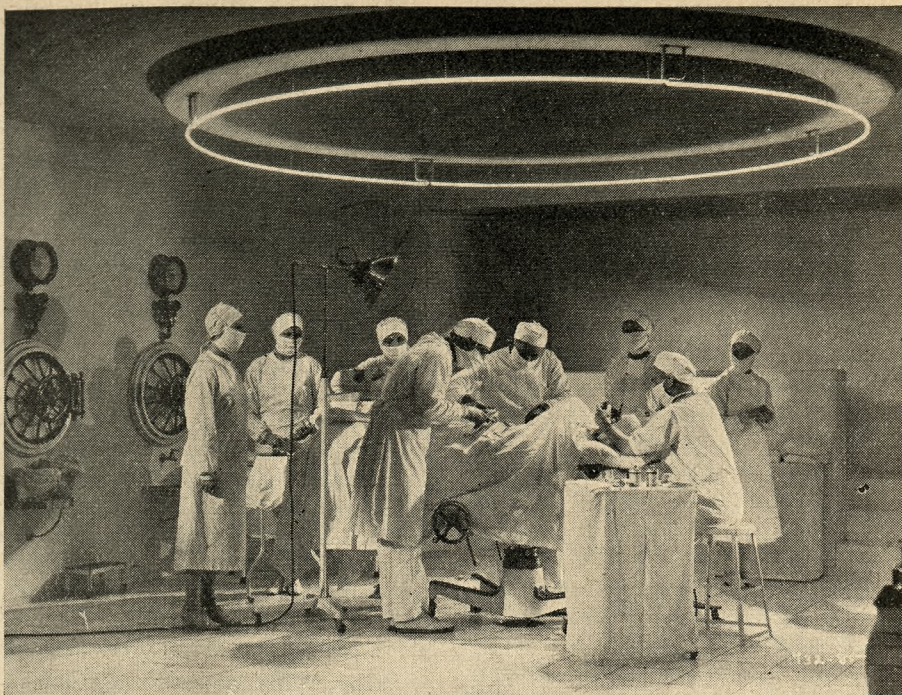
Z życia ekranu

Premjery... premjery...

Jestem w prawdziwym kłopotcie: tyle premier! Prawie o każdym z tych filmów wartoby coś powiedzieć — dla jego wartości istotnej lub pozornej — a ograniczone miejsce na to nie pozwala. Poprzestańmy więc na notatkach, raczej informacyjnych, niż analitycznych.

Z „wieku i urzędu“ pierwszeństwo należy się „Nędznikom“; ze względu na klasę powieści, z której film przerobiono, i na to, że przeróbka ta nie zniekształciła dzieła literackiego, stwarzając jednocześnie walory filmowe. Jest to już trzecia czy czwarta wersja ekranowa powieści Wiktora Hugo, i napewno — nie ostatnia.

Historja Jean Valjean'a będzie łakomym pokarmem emocjonalnym dla mas długo jeszcze, przynajmniej tak długo, dopóki będzie istniało zagadnienie ciemieczów i ich ofiar, kary, miłosierdzia i przebaczenia. Reżyser Raymond Bernard potraktował Victora Hugo z pietyzmem: nie tylko zachował charakter każdej postaci, ale utrzymał je w ramach romantycznego stylu epoki, który stanowi cały urok książki i — filmu. Niema tam nic sztucznego, teatralnego i aktorskiego, w złem znaczeniu tego słowa. Widocznie cały zespół tak się wżył w ducha książki i epoki, że nie tylko porusza się w tej atmosferze ze swobodą, ale wciąga za sobą widza. Każda scena — zwłaszcza w pierwszej części — odznacza się pierwszorzędnymi wartościami malarzskimi: kompozycje i rozkład światła i cieni przywodzą na myśl stare sztychy. W drugiej części, świetnie zrobiony jest pogrzeb generała Lamarque'a, gdzie przez odpowiedni układ i rytm obrazów, został doskonale oddany nastrój narodzin walk rewolucyjnych. Trudno o lepszego wykonawcę roli Jean Valjean'a, niż Henri Baur, który wysuwa się dziś na czoło aktorów dramatycznych w wielkim stylu. „Nędzni-



Scena z filmu: „Ludzie w bieli“.

cy“ R. Bernarda stanowią doskonały przykład tego, że t. zw. „arcydzieło literatury“ może być spopularyzowane przez film, nie tracąc nic ze swej wartości, ale pod jednym warunkiem: jeżeli realizator jest artystą.

Mówiąc o produkcji francuskiej, należy wspomnieć o filmie reż. Litrake p. t. „Gra Zmysłów“ (jeszcze jeden kretyński tytuł). Temat w zasadzie nie nowy — (czy starszy pan może kupić za pieniądze miłość młodej dziewczyny, którą podnosi też na wyższy szczebel drabiny społecznej?) — został „odbanalizowany“ i ujęty w ramy psychologii, będącej zazwyczaj w pogardzie scenarzystów.

Bohater jest nową postacią, nie należącą do galerii znanych typów ekranowych; nie jest to fascynujący starszy pan, mogący ostatecznie zdobyć serce nawet młodej

partnerki, lecz brzydki, niemłody mężczyzna, wytrawny i cyniczny gracz życiowy, znający świat, ludzi i ich słabości i zdający sobie jasno sprawę z tego, że jego jedynym atutem jest — pieniądź. Początkowo traktuje całe zagadnienie, jako eksperyment, podobny jego eksperymentom medycznym (jest słynnym lekarzem), a gdy sam wpada w sidła miłości, potrafi zachować dość rozsądku, aby nie ośmieszać się używaniem zwykłej broni zakochanego młodzieńca. Czy eksperyment się udaje? Pozornie — nie. Ale jeżeli stary gracz dostaje mata, to raczej wina okoliczności, niż złego obliczenia z jego strony; to też wcale nie jesteśmy pewni, czy jego porażka jest ostateczna.

Henri Baur jest do tej roli jakgdyby stworzony. Jego oszczędna, napozór „monotonna“ gra, stwarza postać o niezapomnianej plastyce. Reżyser opowiedział historję starego lekarza językiem prawdziwie filmowym, przetwarzając „literacki“ temat na — dobre kino.

Wśród filmów amerykańskich znajdujemy znów taki film, który nauczył nas cenić reżysera Van Dycka. Jest to film oparty na prawdziwym folklorze, zdjęty w terenie, piękny zarówno pod względem ideologicznym, jak plastycznym. („Eskimo“).

Van Dyck wrócił tu do ideologii swego pierwszego filmu („Białe cienie“), gdzie wykazuje zgubny wpływ cywilizacji na ludy pierwotne (tam, byli to mieszkańcy wysp Móz Północnych). W „Eskimo“ mamy to samo zestawienie: głęboka moralność eskimosów, poszanowanie danego słowa, współczucie i gotowość niesienia pomocy potrzebującym, ufność w stosunku do obcych, wszelkie cnoty rodzinne — przeciwstawione są nie tylko zepsuciu białych „kulturträgerów“ i ich pogardzie dla człowieka innej rasy, ale ich bezdusznemu i obłudnemu prawu. Ta krytyka działalności amerykańskiej policji na terenach północnych ziem, zamieszkałych przez eskimosów, jest ze strony amerykańskiego



Scena z filmu: „Ich noce“.

reżysera i scenarzysty czynem prawie rewolucyjnym, którego nie zmienia fakt, że wśród białych uczestników dramatu znajdują się też porządni ludzie. Scenarzysta, w którym prawdziwe obyczaje eskimosów wplecione są zrećźnie w fabułę, sprawia, że niewiadomo, gdzie kończy się reportaż, a zaczyna inscenizacja, tembardziej, że aktorami są prawdziwi eskimosi, których trudno posądzać o to, żeby byli prawdziwymi „gwiazdami” i „gwiazdorami”, a których zdolności aktorskie przekraczają znacznie możliwości „amatorów”. Stwierdzimy więc tylko fakt, że to zespolenie prawdy i sztuki daje film bardzo ciekawy pod względem ideologicznym i folklorystycznym, nie mówiąc już o stronie fotograficznej, która w filmach Van Dycke'a zawsze stoi na b. wysokim poziomie.

A teraz przejdźmy do filmów „niższej klasy”. „Ludzie w białej” to film z tezą, mający popularyzować wzniosłość zawodu lekarza. Amerykanie zazwyczaj robią bardzo zrećźnie tego rodzaju filmy propagandowe, bez względu na to, czy chodzi o policję, straż ogniową, czy lotnictwo wojenne. Jednakże tu, scenarzysta jest słaby; „sens moralny” filmu nie wypływa z akcji, lecz z przemówień „rezonera” dr. Hochberga. Irytujące jest też to, że trzeba dopiero śmierci biednej zakochanej w lekarzu pielęgniarki, ofiary jego porywu zmysłowego, ażeby jego bogata i kapryśna narzeczona zrozumiała, na czym polegają „blaski i nędze” zawodu lekarskiego.

Zato w filmie tym mamy wspaniały obraz amerykańskiej kliniki, z jej najświetniejszymi urządzeniami, organizację i technikę pracy — obraz, który może imponować niejednemu lekarzowi i powrócić wiarę w medycynę i lekarzy niejednemu... czytelnikowi książki P. Garda „Zachorowałem”. Reżyser Ryszard Bolesławski, zrobił wszystko, co się dało zrobić z takiego scenarzysty: sprawił to, że ta klinika żyje swem samoistnym życiem, bez



Scena z filmu: „Czy Lucyna to dziewczyna?”.

względu na mętne perypetje narzeczonych. Pod względem techniki fotograficznej, film przedstawia się pierwszorzędnie.

Jeden z „ludzi w białej”, mianowicie Clark Gable, jest również bohaterem filmu „Ich noc”. Jest to komedia oparta na starym schemacie poskromienia... nie złośnicy, wprawdzie, ale kapryśnej miliardarki. Temat ten „odmłodzony” nowoczesną techniką komunikacyjną (akcja rozgrywa się na trasie autobusu Miami — New York), przeżytkany świetnymi „gagami”, daje w rezultacie film niezmiernie miły, wesoły i wdzięczny, na który widz przez cały czas patrzy z zainteresowaniem i rozbawieniem.

Tutaj znów mamy dowód, jak zdolny scenarzysta i dobry reżyser (Fr. Capra) potrafią oklepaną historyjkę okrasić wdziękiem i humorem, zwłaszcza, jeżeli pomagają im w tem dobrzy aktorzy (Claudette Colbert, Clark Gable).

Jaka szkoda, że nie można tego samego powiedzieć o komedyjce polskiej „Czy Lucyna jest dziewczyna?”. Tutaj „odmłodzenie” starych rekwizytów jest tylko częściowe: mianowicie bohaterka jest... inżynierem, chcącym (czy chcącą?) pracować w fabryce ojca, a nie mogąc dostać się tam w inny sposób, przebrała się za chłopca. Takie unowocześnienie polskiej gaśki (bohaterki innych komedijek) jest już postępem, ale jest to jakgdyby jeden nowoczesny mebel w staroświeckim (ale nie — stylowym!) salonie, gdzie nadal królują takie groteskowe „hrabinie” i baronowie — półgłówki, jakimi kazano być Cwiklińskiej i Grabowskiemu. Nie wiadomo dlaczego Cwiklińska, taka wspaniała aktorka komedjowa, zawsze musi się w filmie „wygłupiać”; robi to wprawdzie z wrodzonym sobie wdziękiem i inteligencją, ale czy nie szkoda jej na to? Smosarska wygląda prześlizgnięta, i jako dziewczyna, i jako chłopiec, ale w scenach „męskich” ma o wiele więcej swobody i bezpośredniości, dając tem dowód, że gdy tylko pozwalają jej wyjść poza szablony narzucanych jej zwykłe ról — potrafi znaleźć inny i właściwy ton. Z innych aktorów, świetny jest Chmieliński i bardzo dobry Bodo. „Anioł biurowy” Skalskiej kanciasty i pozbawiony wdzięku.

A teraz to, co najważniejsze: reżyserja. Składna, gładka, bez dłużyzn, ale też bez inwencji i — co najważniejsza, bez filmowego humoru (ten, jaki jest, to humor teatralny). Komedja, zdaje się, nie jest silną stroną reżysera Gordona. Stef. H



Scena z filmu: „Eskimo”.



TAM GDZIE SIĘ
UBIERAJĄ KSIĘŻ-
NICZKI.

Pracownia jednego z wielkich domów mody w Paryżu.

Pracownice zajęte są szyciem wyprawy dla księżniczki Mariny.

Jak wiadomo ślub księżniczki Mariny z księciem Jerzym angielskim ma się odbyć dnia 29 grudnia bieżącego roku.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

MISTRZYNI EUROPY W PŁYWANIU.

Tak wygląda Willie den Ouden, Holenderka, która pobiła kobiecy rekord szybkości w pływaniu czałkiem, przebywając 100 m. w czasie 1,07 minuty.

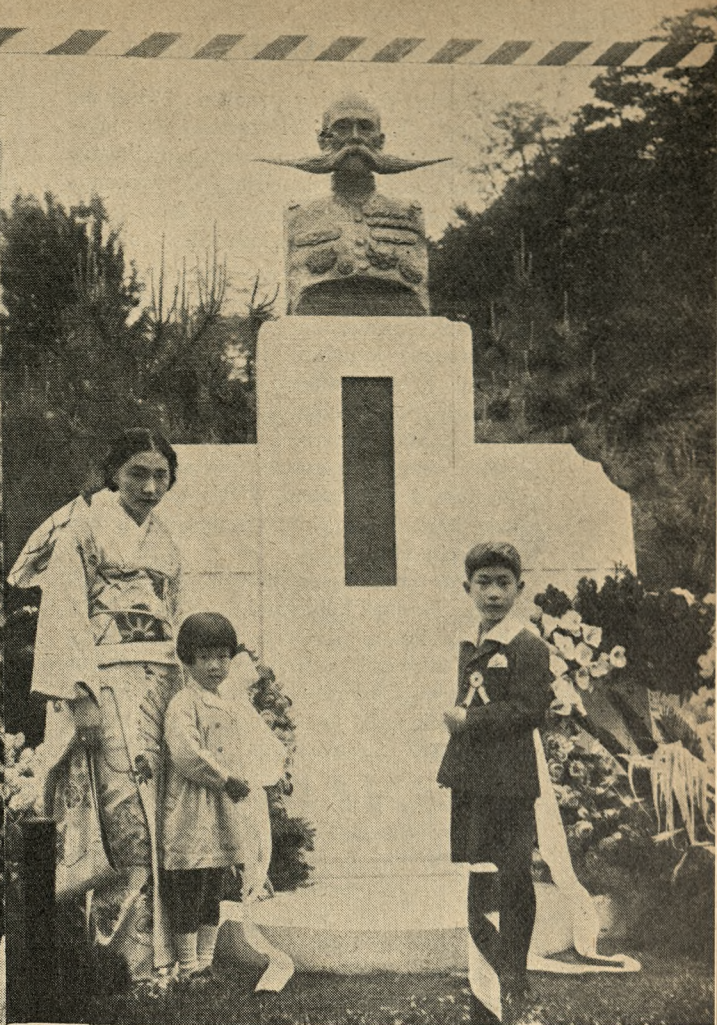


NAJORYGINALNIEJSZY GOŁĘBNIK NA ŚWIECIE

jest imitacją zamku z czterema basztami i znajduje się w jednym z miasteczek w południowej Bawarii.

ZBIÓR HERBATY W GRUZI. I.

Tak odbywa się w okolicach Batumu zbiór herbaty, dokonywany przez kobiety.



PRZED POMNIKIEM WODZA JAPŃSKIEGO O DŁUGICH WĄSACH.

Znanemu nie tylko ze swych talentów wojskowych, ale i z olbrzymich wstęg generałowi japońskiemu Nanaoka wystawiono obecnie pomnik. Przed pomnikiem rodzina zmarłego generała.

FINAŁ KOBIECIEGO TURNIEJU SZACHOWEGO.

Turniej szachowy - kobiecy w Z. S. S. R. został zakończony zwycięstwem pani Czudowej (Moskwa). Drugie miejsce przypadło w udziale p. Labadowej (Rostów nad Donem).

Pani Czudowa podczas gry.



NAJCIEŹSZY ZAWÓD KOBIETY.

Niema już dziedziny pracy do której nie weszłyby kobiety. Pozazdrościły mężczyznom nawet owego przysłowiowego „tłuczenia kamieni“ i podjęły się wykonywania tego ciężkiego zawodu. Że tak się stało naprawdę, dowiadujemy się od współpracownicy „Le Journal de la Femme“, która podczas swych wakacyjnych wędrowek napotkała taką prawdziwą „obrabiaczkę kamieni“ (niema chyba jeszcze na to specjalnego określenia!).

W lesie pod wielką skałą, obok prymitywnej chatki, szczupła, ubogo ubrana kobieta, wyciągając wszystkie swe siły przesuwała tam i spowrotem wielki kamień po blacie kamiennym, przypominającym coś w rodzaju stołu.

Podczas rozmowy, jaka wywiązała się między dwoma kobietami, dziennikarka zadała pytanie: „dlaczego wybór kobiety padł na tak ciężki zawód. Wytlumaczeniem był kryzys. Dawniej kobieta miała jakieś inne zajęcie, gdy je straciła, zaczęła mężowi pomagać w szlifowaniu kamieni, aby utrzymać warsztat pracy, odziedziczony po rodzicach. Kobieta przyznała, że praca jest niezwykle ciężka, pozatem nie bardzo się opłaca. To, co oboje z mężem zdołają obrobić, to idzie na użytek najbliższych sąsiadów, na jakiś większy eksport niema co liczyć. Chałupnicy nie mogą wytrzymać konkurencji wspaniale uposażonych w zdobycze techniczne przedsiębiorstw.

Z tego wszystkiego kobieta zdawała sobie sprawę, ale całe zagadnienie załatwiła jednym zdaniem: „Z czegoś trzeba przecież żyć, prawda?“.

R. POINCARÉ RZECZNIKIEM RÓWNOUPRAWNIENIA KOBIET.

Raymond Poincaré był wielkim zwolennikiem równouprawnienia kobiet. Lecz jego wystąpienia w Senacie spotykały się zawsze z gwałtowną opozycją.

Swój pogląd na stanowisko, jakiego pragnął dla kobiet francuskich, wyraża w jednym ze swych listów: „Jestem zdecydowanym zwolennikiem przyznania kobietom prawa wyborczego. Przykro mi, że Francja dała się wyprzedzić pod tym względem innym narodom“.

Akcja kobiet o prawo głosu spotkała się z jego zyczeliwem poparciem w Senacie. „Wszyscy moi koledzy oddawna znają moją przychylną opinię w sprawie równouprawnienia kobiet. Część senatorów będzie głosować za niemi. Przy pierwszej okazji postaram się przekonać innych. Śmierć zabrała wielkiego patryjotę, którego pragnieniem było wyzyskać dla Francji pracę nietylko jej synów, lecz i jej córek.

KOBIETY W SĄDOWNICTWIE CAŁEGO ŚWIATA.

Już w wiekach średnich zdarzały się wypadki, że kobiety sprawowały sądy, bądź były członkami nadzorczych korporacji.

Revolucja odebrała kobietom te prawa, pozostawiając im jedynie udział w słynnych trybunałach arbitrażowych, które załatwiały nieporozumienia między mał-

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



zachowa Pani, stosując płyn SIMI, który nadaje cerze świeżość i urok młodości, usuwa węgry, pryszcze i zmarszczki oraz odtłuszcza skórę.



żonkami, lub między rodzicami a dziećmi. Lecz wkrótce usunięto kobiety z sądownictwa i dopiero w 1869 r., w Stanach Zjedn. pojawiły się pierwsze kobiety sędziowie.

Kobiety niemieckie walczyły od 1905 r. o dopuszczenie do sądów dla nieletnich, podkreślając swą zdolność odczuwania psychiki dziecka, i łatwość pozyskania jego zaufania. Petycja złożona w 1912 r. na posiedzeniu Reichstagu nie została zaakceptowana. Wydział prawny był ustepniowany dla kobiet na początku XX w. Lecz dopiero konstytucja Wejmarska z 1922 r. dopuściła kobiety na wszystkie stanowiska z zakresu sądownictwa, z wyjątkiem oczywiście trybunałów wojennych.

KĄCIK RADJOWY

Radjowe lekcje tańca.

Atrakcja, która przyciąga ludzi do radja jest w pierwszym rzędzie muzyka. To też kierownictwo radja zwraca wielką uwagę na rodzaj i jakość audycji muzycznych, stosując przede wszystkim w tej dziedzinie pewną ukrytą dydaktykę, która dąży do rozbudzenia, zamilowań muzycznych przez podawanie audycji na coraz wyższym poziomie. Dla tych początkujących niejako miłośników muzyki radjowej, którzy słuchając modnych utworów chcieliby trochę potańczyć, radjo wprowadza tytułem próby lekcje tańca od dnia 5.XI b. r. Lekcje będą odbywać się dwa razy w tygodniu od godz. 22.15 do 22.55. Czas pokaże, czy nowa audycja Polskiego Radja przyjmie się i czy słuchacze będą z niej zadowoleni.

Ciekawe spostrzeżenie radjowe.

W radjo robi się niejednokrotnie bardzo ciekawe spostrzeżenia, które zmieniają w sposób zasadniczy utarte poglądy. Wydawałoby się np., że obojętnym jest, czy jakiś odczyt lub feljton wygłasza mężczyzna, czy kobieta. Doświadczenie radjowe przeczy temu pogładowi. Jest wiele tematów, które w ustach kobiety przed mikrofonem brzmią fałszywie i odwrotnie, jest wiele feljtonów wymagających tylko

głosu kobiecego. Aby zapobiedz niepożądanym efektem, jakie wywołuje głos niedostosowany do tematu, radjo zarządziło, żeby nie powierzać kobietom odczytywania feljtonów przeznaczonych do wygłoszenia przez mężczyzn i odwrotnie.

Chopin co tygodnia w Niemczech.

Słuchacze radjowi mieli możliwość zapewne przekonać się, że coraz częściej w programie niemieckich stacyj radjowych znajdują się koncerty chopinowskie w wykonaniu artystów polskich. Wyjaśnienie jest proste. Kierownictwo radjofonji niemieckiej po okresie próbnego brania niektórych koncertów chopinowskich z Warszawy na swoje rozgłośnie, zwróciło się ostatnio do Polskiego Radja z życzeniem transmitowania wszystkich naszych śródownych koncertów muzyki Chopina. Koncerty te nagrywane są w Niemczech na płyty woskowe, z których poszczególne stacje odtwarzają je w czasie niezależnym od audycji warszawskiej.

Radjo w cyfrach.

Jakiś dowcipny statystyk obliczył, że jedna radjostacja zużyła w ciągu roku taką ilość nut, iż gdyby je ułożyć w formie wieży osiągnęłoby wysokość 210 m. Audycje literackie wydrukowane w formacie leksykonu dałyby w rezultacie 48 tomów po 50 stron. Gdyby wydrukować wiadomości prasowe, nadawane przez radjo w ciągu roku, powstałby dziennik wagi 15 kg. Najciekawsza jest jednak chyba to, że gdyby płyty gramofonowe używane w radjo, przetopić w jedną wielką płytę, uzyskałoby się tarczę niewiele mniejszą od śródmieścia Warszawy.

„O straconym czasie i punktualności“.

Niepunktualność to wada, która wprowadza chaos w życie nietylko „niepunktualnej“ jednostki, ale i utrudnia życie całemu jej otoczeniu. Nieszanowanie cudzego czasu, należy do przestępstw codziennych. Piękne powiedzenie „czas to pieniąż“, jest niestety u nas... przysłowiem luksusowym. Pogadanka p. Zofji Popławskiej w radjo wygłoszona w dn. 3-cim listopada o godz. 17.50 w cyklu odczytów „Dom i Rodzina“ nawiąże do nieobowiązkowości i lekkomyślności niepunktualnych.

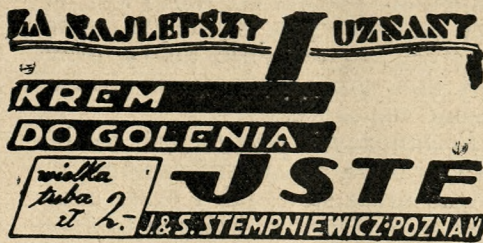
SPROSTOWANIE.

W Nr. 43 w art. „Swoje kartofle“ opuszczono ostatni wiersz w ostatnim zdaniu artykułu. Zdanie to powinno brzmieć:

„Pani Ministrowa Marja Janta-Polczyńska jest przewodniczącą Sekcji „Ogródków Działkowych“ przy Tow. „Opieka“ i prowadzi tę Sekcję z dużym zapalem i znajomością rzeczy“.

Ogrodnictwo i hodowla

PÓŻNA JESIEŃ W OGRODZIE



Przeszły już pierwsze przymrozki, które dokonały spustoszenia w naszym ogródku. Teraz, gdy warzywa sprzątnięte, jest właśnie najlepszy moment do zrobienia w ogródku „wielkich porządków”. Pierwszą czynnością będzie usunięcie korzeni, głąbów, chwastów i t. p. na *kupę kompostową*.

Tam się rozłożą i zamienią na czarną urodzajną ziemię, tak cenną w gospodarce ogrodowej. Gdybyśmy zostawili je na grządkach, to tam zgniłyby również, ale jednocześnie stałyby się cenną pożywką dla różnych bakterii, któreby zakażyły grunt, co z kolei stałoby się przyczyną różnych chorób i niedomagania naszych roślin.

Zaschłe i opadłe liście powinny być zgrabione na kupę, gdzieś w ustronnym miejscu. Grabienia najlepiej dokonywać w suchą pogodę. Liście mogą nam się bardzo przydać, jako doskonały materiał do *nakrywania roślin* czułych na mrozy.

Pozatem wilgotne liście, złożone na kupy, dają niezbędną w każdym gospodarstwie ogrodowym *ziemię liściową*, oraz wchodzi w skład ziemi kompostowej i inspektowej. Najmniejszą wartość przedstawiają liście *kasztanowe i orzechowe*, ze względu na dużą zawartość garbnika. Wszystkie rośliny, bojące się mrozów, jak dalej, pacioreczniki i t. p. powinny być z ogrodu uprzętnięte i odpowiednio przechowane. Dalszym zabiegiem będzie *przekopanie i znamięnienie ogrodu*.

Kto chce mieć wysokie plony, ten pamiętać musi, iż każdy skrawczek uprawnej ziemi musi bezwarunkowo być poruszony i pozostawiony przez zimę w postaci nastroszonej. Chodzi tu bowiem o to, aby jaknajwiększa powierzchnia ziemi była wystawiona na dobroczynne działanie powietrza, mrozu, śniegu, zmian atmosferycznych i t. p. Ziemia, pozostawiona na okres zimowy w ostrej skibie, dobrzeje. Im głębiej spulchniamy ziemię, tym bardziej udostępniamy przenikanie powietrza i mrozu w dolne warstwy ziemi. Ma to szczególne znaczenie dla uprawy warzyw korzeniowych, głęboko przenikających w ziemię. Pamiętać należy, iż w ziemi naszej żyją milionami drobnoustroje, które dla swego istnienia normalnego rozwoju, niezbędnie potrzebują powietrza. Przez głębokie przekopanie ułatwiamy również przenikanie wody, która tam zostaje, jakby zamagazynowana i pozwala roślinom

następnie czerpać korzeniami rozpuszczone w niej sole życiodajne.

Skopać należy grządki nie płycej niż na 25—30 cm. Dobrze jest wzruszyć także dno bródzy, nie wyrzucając jej jednak na powierzchnię. Wogóle należy unikać wydobywania na wierzch zbyt wielkich ilości martwicy, a starać się jedynie doprowadzić ją odpowiednią uprawą do stanu rodzajnego.

Im cięższą i bardziej zlewną ziemię mamy w ogródku, tem więcej uwagi musi poświęcać jesienną uprawie. Gdyż tylko pod działaniem mrozu i powietrza, rola nabiera gruzelkowatej budowy, staje się bardziej przewiewna i łatwiej się nagrzewa. Ciepło, pobrane przez wierzchnią warstwę, bezpośrednio od słońca, dzięki wodzie i powietrzu może przenikać w głąb, ułatwiając rozwój drobnoustrojów, z którymi jest związane całe życie rośliny.

Lekkie, przepuszczalne ziemię również koniecznie powinny być uprawiane na jesieni, ze względu na to, że taka uprawa daje możność magazynowania wody w dolnych warstwach. Pozatem, ziemi takiej nigdy nie powinno się przekopywać wiosną, gdyż to zbyt ziemię suszy. Rośliny trwałe a więc: szparagi, rabarbar i truskawki — trzeba oczyścić bardzo dokładnie z wszelkich chwastów.

Łęty szparagowe powinno się ścinać na jakieś 10—15 ctm. nad ziemią, aby nie rozsiewały się zarodniki rdzy szparagowej. Łętów tych nie składać na kompost, ale spalić. Choroba rdzy występuje w postaci czarnej plamy na przysychających łęcinach.

W łętach szparagowych ukrywają się również często poczwarki „muchy szparagowej”, groźnego szkodnika.

Pomiędzy *karpami szparagów i rabarbaru* rozrzucamy kompost lub dobrze przetrawiony obornik i przekopujemy go natychmiast, aby go pomieszać z ziemią. — Zasiłek ten jest konieczny, jeśli chcemy zbierać duże plony. To samo należy zrobić z *truskawkami*, którym dajemy przetrząskę z nawozu. Woda wyługuje z zimowych opadów pożywe części, ale zasili ziemię pod ko-

zzeniami. *Warzywa zimujące w gruncie*, jak: pietruszka, selery, skorzonera, wężymord i t. p. należy nakryć kłującymi gałązkami, najlepiej jałowca dla ochrony przed mrozem i myszami.

Marja Dąbrowa.

HELIOTROP kwiat naszych babek

Heliotrop był najmilszym kwiatem naszych babek, które woń jego bardzo lubiły. To też dawniej doniczkę z tą rośliną można było spotkać w każdym prawie domu.

Dziś jakoś roślina ta poszła w zapomnienie, a szkoda, bo do hodowli tak pokojowej, jak i balkonowej nadaje się, jak żadna inna i przy odrobinie starania rośnie szybko i kwitnie obficie.

Należy ona do rodziny szorstkolistnych, tworzy niewielkie krzaczki na 20 — 30 ctm. wysokie, o pędach drzewniejących z wiekiem. Liście są małe, naprzemianległe, najczęściej lancetowate i spiczaste, pomarszczone, ostre, lub owłosione; jasno, lub ciemno zielone.

Małe, ale zebrane w kwiatostany kwiatuszki ukazują się w ciągu całego lata. Odznaczają się oryginalną liljowo - różową barwą i wydają subtelny i bardzo miły zapach, cokolwiek przypominający wanilię.

Przy nieco staranniejszej pielęgnacji można łatwo słonecznicę prowadzić w wysokopienne drzewko. Trzeba tylko cierpliwie obcinać wszystkie wypustki, ukazujące się przy głównym pędzie. Gałązkę tę, która musi być silną, przywiązujemy w dwóch, lub nawet trzech miejscach do palika.

Gdy pęd osiągnie wysokość około pół metra, przystępujemy do tworzenia korony. W tym celu obcinamy czubek rośliny, aby ją pobudzić do tworzenia bocznych pędów. Gdy się ukazą, celem dalszego krzewienia się drzewka. W ciągu dwóch lat można wyhodować śliczne drzewko.

Heliotrop rozmnaża się z sadzonkami, robionych najlepiej w lutym. W końcu stycznia kończy się okres odpoczynku tej rośliny i na gałązkach ogołoconych częściowo z liści, ukazują się nowe pędy, gdy osiągną 3 — 5 ctm. długości obcina się je tak, że jeszcze mały wypustek przy gałązce zostaje. Sadzonki sadi się do niewielkich doniczek, lub skrzyneczek i przykrywa szklanką, lub kloszykiem. Ziemię utrzymywać trzeba miernie wilgo-

tno. Po dwóch tygodniach zwykle się już zakorzeniają.

Zakorzenione sadzonki rozsadza się pojedynczo w żyzną, a lekką ziemię, np. liściową, pomieszana z gnojową.

Słonecznica wymaga częstego przesadzania, przynajmniej corocznego, gdyż bardzo wyczerpuje ziemię. Najlepszą porą do tego jest początek lutego, gdy roślina budzi się z zimowego spoczynku.

Młode roślinki trzeba przesadzać nawet częściej, bo korzonki ich rosną bardzo szybko, a od razu większych doniczek dawać nie można, bo słonecznica jest bardzo na zakwaszenie ziemi wrażliwa.

Przesadzenie jest konieczne, gdy korzonki dojdą do ścianek doniczki. Nowa doniczka powinna być tylko o jeden numer większą od poprzedniej.

W ciągu okresu wegetacyjnego, potrzebuje heliotrop dużo wilgoci, w ciągu okresu spoczynku, który trwa od listopada do końca stycznia, dawki wody muszą być skąpe.

Słonecznicę doniczkową zimą my na słonecznym oknie, w pokoju możliwie chłodnym.

Heliotrop stanowi również cenną roślinę balkonową, gdyż ślicznie w skrzynkach wygląda, a ponieważ jesienne chłody mu nie szkodzą, więc powinien być do tego celu często używany, jako roślina wyjątkowo trwała i odporna, która nawet, gdy ma gorsze warunki, prezentuje się dobrze.

Zakorzenione sadzonki wysadza się w drugiej połowie maja, do skrzynek, w odstępach 15—20 cm.

Mimo, iż nosi nazwę „Słonecznica“, heliotrop nie lubi bezpośrednich promieni słonecznych, pod wpływem których listki więdną i obwisają, najlepszym tedy miejscem dla niego będzie okno, lub balkon na zachodniej stronie. Hodując heliotropy w miejscach bardzo słonecznych, trzeba je, przed zbyt natarczymi promieniami słońca, chronić przy pomocy osłon z papieru.

Skrzynki ze słonecznicą zimujemy w jasnej piwnicy, bacząc, aby ziemia w nich zbyt nie wysychała.

Heliotropy łatwo wyprowadzić z nasion. Sieje się je w początku lutego do misek, lub paczek. Gdy wejdą, rozsadza do paczek, a później do wazoników, lub też w maju na rabatki kwiatowe, lub skrzynki balkonowe, gdyż i do hodowli gruntowej roślina ta się doskonale nadaje.

Przestrzec należy hodowczyni, że słonecznica nie znosi zasilania nawozami sztucznymi, które działają na nią wręcz trująco. Dostaje od tego czarnych liści i marnieje.

Marja Dąbrowa.

AKACJA NA NIEUŻYTKACH

Do zalesiania nieużytków akacja stanowi materiał prawie nie do zastąpienia. Potrafi się wyżywić nawet na jałowych wydmach piaszczystych, to też daje dobry przyrost tam, gdzie żadne inne drzewo rosnąć nie może.

Rozmnażanie akacji jest bardzo łatwe i może być uskutecznione, zarówno przez siew, jak i przez odjemowanie odrostów, których to drzewo wydaje dużo.

Siać najlepiej jesienią, siejąc w szkółeczce świeże, najlepiej tegoroczne nasienie. Dwuletnie, a nawet roczne siewki iść mogą na miejsce stałe. Siać można i na wiosnę, przysypując nasienie na 2 cm. grubo ziemią. Stratyfikowanie jest zbędne. Z wypustek korzeniowych akacja dobrze się przyjmuje i dobrze rośnie, ale również lepiej wysadzać je jesienią.

Ciekawą zaletę akacji stanowi to, że umie się ona dostosowywać do najbardziej nawet różnych warunków. Rośnie dobrze na piaskach, na gruntach gliniastych, ciężkich i nawet mokrych tak dalece, że współzawodniczyć może z olszyną. Rośnie bardzo szybko tak, że mało które z naszych drzew może z nią współzawodniczyć pod tym względem. Najodpowiedniejsze są dla nich jednak grunta wapienne, piaszczyste i żwirowate, na miejscach ciepłych i słonecznych.

Na pagórkach zwróconych ku południowi, lub wschodowi można z nich tworzyć nawet gaje. Przycięte przed dojrzaniem do lat 15—20 odrastają ponownie.

Akacja odznacza się taką żywotnością, że tylko wierzba z nią się równać może. Wszelkie rany zabliznia szybko i rośnie dalej.

Użytek z akacji jest wieloraki. Drzewo akacji jest doskonałym materiałem na narzędzia rolnicze i gospodarskie; jest nieocenione, jako opał. Nawet świeżo ścięte doskonale się pali i wydaje stosunkowo znacznie więcej ciepła, niż inne drzewa np.: sosna, świerk, topola, wierzba i t. p.

Drzewo akacjowe jest bardzo twarde. Nadaje się również na różne wyroby tokarskie: meble i t. p., starzejąc się, nabiera coraz piękniejszego słoju.

Wielką zaletą drzewa akacjowego jest również i to, że jest odporne na zarodki grzyba i robactwo. Z tego też względu, chętnie bywa używane na belki, podwaliny, zręby i t. p.

Ze wszystkich drzew prędko rosnących, akacja posiada drzewo najtwardsze i najcięższe. Wadą jego natomiast jest to, że przed użyciem na wyroby stolarskie, musi kilka lat leżeć, bo niezupełnie wysuszone łatwo się paczy.

Zaznaczyć również należy, że akacja jest drzewem wyjątkowo dekoracyjnym, posiadającym piękny rysunek liści, które zdaleka sprawiają wrażenie cudnej, szmaragdowej koronki.

W lipcu okrywa się pękami białych kwiatów, rozciągających subtelną zapach wokoło. Kwiaty te można podawać osmażone w cieście na leguminę, można z nich przyrządzać rodzaj aromatycznej marmolady i t. p.

Są one również bardzo dobre dla pszczoł. Miód akacjowy ma przedni smak i aromat i jest bardzo w handlu ceniony, osiągając większe ceny.

Z tego więc względu należy sadzić jaknajwięcej akacji, bo przecież pszczelnictwo ma wszelkie szanse, aby stać się potężnym gałęzią naszej gospodarki.

Co robić w sadzie po opadnięciu liści

Po opadnięciu liści należy drzewa starannie oczyścić, liście zebrać i wraz z zeszkobaną z pni martwicą, spalić, popiół rozsypać pod drzewa.

Glebę przeorać jaknajgłębiej i zostawić na zimę w ostrej skibie. Przez zabieg ten nie tylko poprawiamy strukturę gleby, ale wystawiamy na wymrożenie wiele różnych poczwerek, które się na okres mrozów do ziemi chowają.

Przez spalanie opadłych liści i martwicy, oraz mchów zeszkobanych z drzewa usuwamy i niszczymy wiele jajeczek, i zarodków różnych grzybków chorobotwórczych, zimujących na liściach i pniu drzewa.

Po opadnięciu liści z drzew, należy je opryskać mlekiem wapiennym z siarczanem żelaza, biorąc wyżej wymienione składniki w następującej proporcji: 12 l. wody, 1 kg. wapna, 1 kg. siarczanu żelaza. Tym prostym zabiegiem niszczymy zarodki chorobotwórczych grzybów, zimujących na drzewie, oraz różne szkodniki zimujące na pniu i gałązkach w stadjum jaj.

Pozatem, bielienie drzew na jesieni, w znacznej mierze chroni je od przemarznięcia. Bielienie powinno być powtórzone drugi raz wczesną wiosną, nim pączki nabrzmieją.

Do dalszych zabiegów jesiennych koło drzew należy usunięcie z drzew suchych liści, oraz zdjęcie, o ile są, suchych owoców. W suchych, wiszących na gałązkach liściach zimują szkodniki, jak np.: kuprówka, rudnica, niestrzęp, głogowiec i inne. Zabiegi powyższe, mało kosztowne, ułatwiają jednak wiosenną walkę ze szkodnikami i w znacznej mierze zapobiegają plądze robaczywienia owoców.

Marja Dąbrowa.

Dom i gospodarstwo

DOKOŁA CHATY

Dokoła wiejskiej chaty — przed i za jej progiem — dzieją się rzeczy, które są dla miasta wprost rewelacyjne. Taką rewelacją był Pokaz-Targi Kół Gospodyń Wiejskich Województwa Warszawskiego, który uplastyczył mieszkańcom stolicy nie tylko ogrom pracy, jaka rozgrywa się na terenach Kół, ale i ogrom jej dorobku.

Ze gospodyni wiejska umie lepiej od wszystkich upiec smaczny, pachnący razowiec, formowany w wielkie bochny o chrupkiej skórce; że zsiadłe mleko, twarożki i białe krowie sery jej wyrobu bywają nieraz przysmakami dla mieszczucha, spędzającego wywczas w wiejskiej chacie; że niejedyn sportowiec krzepi swoje siły temi przysmakami w cieniu gościnnej lipy, w półmroku alkierza, podejmowany, jak najmilszy gość przez skrzętną gosposię, o tem wiemy wszyscy, ale... Ale mało kto z nas wiedział, do chwili zwiedzenia Pokazu, do czego jest zdolna dzisiejsza gospodyni wiejska, kształcona i kierowana, a właściwie *wychowywana* przez swoje poszczególne Koła Okręgowe.

Pokaz stworzył nam oczy na nową sylwetkę Gospodyni wiejskiej, wychodzącej daleko poza szczupłe ramy zainteresowań, mieszczących się w czterech ścianach chaty i ścieżkach podwórka.

Dzisiejsza kobieta wiejska pracuje też i „na eksport”. A jak pracuje, o tem mamy już dokładne pojęcie.

Daje miastu *przetwory owocowe, jarzynowe, warzywa, wędliny, pieczywo zwyczajne (chleby) i luksusowe (pierniki)*. Robi „wymyślnie” „sery”, „podając” je konsumentowi w pięknym opakowaniu. Prowadzi *pasiekę*, hoduje wzorowo *drób*, już nie w sieni, albo izbie, kryjąc swoją nieliczną gromadkę przed mrozem pod łóżkiem, a czasem nawet pod pierzyną, ale we wzorowo urządzonych kurnikach, prowadząc ewidencję nieśności i opierając się na najnowocześniejszych wskazaniach, zarówno w dziedzinie higieny, jak i odżywiania.

Poza temi działaniami czysto spożywczymi pokazano nam piękny *biały puch*, pakowany w estetyczne barwne woreczki z celofanu; *pie-rze* pracowicie „darte” w takt regionalnych pieśni i gawęd, snuty przy błyskach smolnego polana, len i soję, która wywalczyła sobie prawo bytu na polskim zagonie; poważne dorobki rękodzielnicze pod

postacią *plócien* o przeróżnej grubości nitki z jakiej zostały utkane, *pasiaków, kilimków, robót trykotarskich* i przykuwających wzrok *haftów regionalnych*.

Zgromadzono z wielkim wysiłkiem i nakładem pracy „zabytki”, których chaty użyczyły na czas Pokazu, chcąc dać całokształt kultury wiejskiej od wieków. Otworzyły się zamcyste skrzynie. Przed oczyma rzucono bogaty dorobek regionalno-artystyczny, sięgający szeregu pokoleń.

Ale na tem nie koniec. Hold oddany przeszłości nie wyczerpuje tej dziedziny.

Pokazano nam piękne hafty współczesne, zawsze oparte na wzorach regionalnych, czerpanych z żywej wyobraźni, dla której pożywką były i będą wrażenia czerpane z nieprzebranych źródeł natury.

Wprost wejścia rozłożyło się bogate stoisko, prezentujące zwiedzającym pięknie wyprawiane *futra* i pomysłowo kombinowaną z nich galanterję. Pledy i poduszki futrzane, fantazyjnie zestawiane z futer o różnych barwach, nie ustępują niczem czystej krwi kuśnierskiej sztuce.

W ostatnich dniach Pokazu na wszystkich nieomal ekspozycjach zauważało się nalepki z krótkim, ale władcym wyrazem: „Sprzedane”.

Sprzedano imponującą ilość słoików miodu, konfitur, galaretek owocowych i dżemów; sprzedano cały zapas puchu i pierza; sprzedano niezliczone sztuki pięknego równiutko tkanego płótna; każdy komplet serwetek i niezliczona ilość pojedynczych sztuk misternie haftowanych były sprzedane, sprzedane, sprzedane!

Kto się spóźnił ze zwiedzeniem Pokazu, odkładając to do niedzieli, nie dostał też: miodu, wędlin, serów, pieczywa, drobiu. Ten „żarłoczny” pytał na wszystko, co zgromadzono i dowożono w czasie Pokazu jest miarą wartości ekspozycji, które pomimo kryzysu, znalazły zastęp chętnych nabywców.

Taka już jest sprawozdawcza natura, aczkolwiek umie patrzeć i umie widzieć, musi dotrzeć do serca sprawy.

A sercem tym i głową jest pani Wanda Radziejowska, inspektorka Kół Gospodyń przy Warszawskiej Izbie Rolniczej.

Pani Radziejowska pomimo braku czasu nie szczędzi cierpliwego i

niezrównany
model na porost
włosów
USUWA ŁUPIEŻ
ZAPOBIEGA WYPADANIU
WŁOSÓW

wystrzegać się
naśladowictwa
prawdziwy tylko z firmy:

HENRYK ŻAK DOZNAŃ



uprzejmego trudu. Obchodzimy wspólnie, poraz drugi, teren Pokazu, który w oświetleniu rzeczowych objaśnień pani Radziejowskiej nabiera coraz bardziej imponujących konturów.

O nasileniu pracy, jej przyciągającym promieniowaniu świadczy najlepiej *statystyka*. Oto w ciągu ostatnich dwóch lat (1933—34) liczba Kół w jednym jedynym Województwie Warszawskim rośnie z 96 do 260, a liczba członkiń wzrasta nieomal trzykrotnie, bo z 1.725 do 5.600.

Trudno się nie zainteresować sprawą tak żywotną, jak sprawa zbytu na to, co produkują członkinie Kół.

To też zwracam się do pani Radziejowskiej z pytaniem, czy wytwórczyni znajdują z łatwością ujście dla swojej produkcji? Czy wyrobiły sobie bezpośredni kontakt z konsumentem, unikając w ten sposób łańcucha pośredników, którzy ze swoistym „wilczym apetytem” pochłaniają niemal że cały zarobek, który powinien przypaść w udziale wytwórcy.

Dowiaduję się, że jednym z celów Pokazu była właśnie troska o skonfrontowanie wytwórczyni z konsumentami, a handlowe zainteresowanie, jakie wzbudził Pokaz, zdaje się budzić jaknajlepsze nadzieje.

W imię dobra obustronnego (członkiń Kół i Pań domu) proszę panią Radziejowską o szczegółowe dane co do źródeł zakupów i sposobu porozumienia z poszczególnymi wytwórczyniami, lub Kołami.

Wzajemnie dostaję solenną obietnicę dostarczenia naszej Redakcji rzeczowych danych, które pozwolą Paniom wkrótce wejść w bezpośredni kontakt z chatą i przewidzieć swoje gospodarstwa „paczkami żywnościowymi”, które nie tylko spełnią dodatnią rolę ekonomiczną, ale i pobudzą zapał do pracy, rokującej coraz większy dorobek.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy gospodarskie

Ptysie.

Ptysie pieczone z bitą śmietaną. Proporcja: 120 dkg. masła, 120 dkg. mąki pszennej, 1 szklanka wody, 5 do 6 jaj.

Na krem: półtorej szklanki śmietanki kremowej, cukier puder z wanilią.

Zagotować w sporym rondelku wodę z masłem, wsypać we wrzącą osianą mąkę, mieszając bezustannie, aby się grudki nie wytworzyły. Podgrzewać ciasto, stale mieszając, dopóki nie zacznie odstawać od rondla. Wówczas zdjąć z ognia, wystudzić.

W zimne ciasto wbijać po jednym całym jajku, wyrabiając co najmniej pół godziny łyżką drewnianą. Ciasto powinno zupełnie odstawać od łyżki, wówczas jest naprawdę dobrze wyrobione.

Na doskonale wyszorowanej blasze kładzie się łyżeczkę deserową mniejsze, lub większe kupki ciasta, zależnie od tego, jakiej wielkości ciastka zrobić zamierzamy. Te „kupki” powinny być równomierne tak co do kształtu, jak i rozmiarów. Układać trzeba w dużych odstępach, bo wyrastają w piecu.

Pieca ptysie wymagają bardzo gorącego, inaczej nie wyrosną! Gdy nabiorą jasnożółtego koloru i dojdą do pokaźnych rozmiarów, zmniejszamy ogień i dosuszamy ciastka, aby nie były wewnątrz zbyt wilgotne.

Piec w dniu, w którym mają być podawane, bo łatwo wilgną. Upieczone zawczasu przechowywać w pudle z białej blachy, szczelnie zamkniętym.

Przed wydaniem ptysiów na stół, przeciąć każde ciastko na pół, spód nałożyć obficie bitą śmietaną, przykryć wierzchem, pocukrować przez sitko pudrem z wanilią i natychmiast podawać.

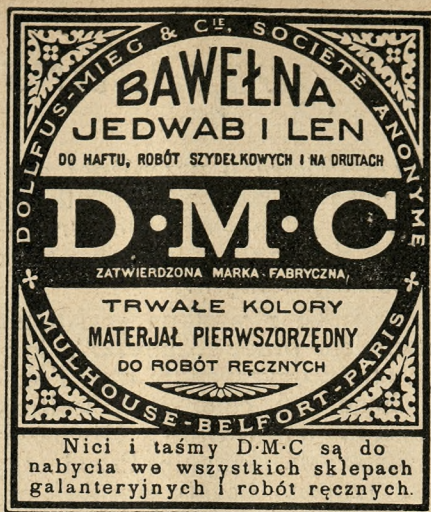
Krem śmietankowy. „Udanie się kremu” zależy w pierwszym rzędzie od stopnia gęstości śmietanki. Chcąc mieć krem o odpowiedniej konsystencji, to znaczy się taki, który spada z łyżki, nie leje się, nie można używać innej śmietanki, jak kremowej, dbając przytem o jej niską temperaturę.

Najlepiej jest wstawić salaterkę ze śmietanką w lód, a gdy doskonale zaziębnie, ubijać równie na lodzie. Do gęstego już kremu dodawać cukier puder z wanilią, sięjąc go przez sitko (nie powinien padać w jedno miejsce) i dalej ubijać, dopóki cała proporcja cukru nie wyjdzie.

Trzymać na lodzie do chwili podania.

Krem pomarańczowo - cytrynowy. Proporcja: 9 całych jaj, sok z jednej soczystej pomarańczy i jednej cytryny, skórka otarta z jednej pomarańczy i jednej cytryny, 25 dkg. cukru pudru, 10 dkg. masła deserowego, łyżka mocnego, aromatycznego araku.

Rozbić w kamiennym garnuszku całe jaja, dodać puder, ubijać jeszcze chwilę. Dodać sok z pomarańczy i cytryny, skórkę otartą, 10 dkg. masła deserowego. Postawić garnuszek na blasze, ubijać krem trzepacz-



ką, dopóki się nie zagrzeje i nie zgęstnieje. Wystudzić. Dodać 15 dkg. masła deserowego, ucierać na lodzie, albo w zimnie około pół godziny, dodając po parę kropel łyżkę araku. Kremem tym napieniać przekrojone, jak wyżej, ptysie. Powierzchu cukrować pudrem bez wanilii.

Krem waniljowy. Proporcja: 6 żółtek, 10 dkg. cukru pudru, ¼ laski sproszkowanej wanilii, szklanka słodkiej śmietanki, wyrównana z brzegami łyżka mąki pszennej, 15 do 20 dkg. wyborowego masła deserowego.

Ubić żółtka z cukrem do białości. Dodać: mąkę, wanilię, wymieszać. Wlać śmietankę. Podgrzewać na wolnym ogniu, mieszając łyżką drewnianą, aż do zgęstnienia kremu. Uważać, żeby się żółtka nie ścięły!

Przestudzić krem, dodawać stopniowo lekko rozgrzane masło, ucierać na lodzie pół godziny. Ptysie z takim kremem będą wyborne.

Ptysie smażone. Proporcja ta sama, co powyżej.

Doskonale wyrobione ciasto parzone kłaść małą łyżeczką deserową na silnie rozgrzany szmalec. Dawać tylko tyle pączków, żeby nawet po wyrośnięciu mogły pomieścić się swobodnie w rondlu. W pierwszym stadjum smażenia przykryć dobrze dopasowaną do rondla pokrywą, wtedy lepiej i prędzej wyrastają. Smażyć 20 minut z początku na silniejszym, później na wolnym ogniu. Przykryć z rondla zdjąć po 5 minutach, dalej smażyć odkryte.

Usmażone ptysie wyjmować łyżką durszlakową, osączać na bibule, układać na blaszanym półmisku, przetrzymując w piecu (niecukrowane), aż do chwili wydania na stół. Wtedy układać w zręczny stos, zważający się ku górze, przesypując każdą warstwę cukrem pudrem z wanilią. Ptysie podawać gorące! Do nich oddzielnie sok owocowy, albo konfitury z czarnych wisien.

Ptysie smażone z parmezanem. Usmażyć ptysie, jak wyżej. Utrzeć 10 dkg. parmezanu albo obsuszonego sera szwajcarskiego, ułożyć w stos na ładnym ognio-trwałym półmisku, posypać tartym par-

mezanem. Wsunąć do gorącego pieca, aby się z tartego sera szybko wytworzyła szklista, złota polewa.

Pączki ze szpikiem. Proporcja: 40 dkg. mąki pszennej, ½ szklanki śmietanki, żółtka, łyżka cukru, pół łyżeczki soli, 5 łyżki roztopionego szpiku wołowego, półtora dkg. drożdży.

Osiać mąkę, wygrzać ją, stawiając niedaleko kuchni. Drożdże rozrobić z dwoma łyżkami śmietanki i cukrem. Przygotować dosyć gęsty rozczyń, przykryć naczynie z rozczyńcem czystą ściereczką, postawić w cieple, niech podrośnie.

Do pozostałej śmietanki wbić tyle żółtek, żeby szklanka była pełna. Ubić żółtka ze śmietanką, dodać do rozczyń resztę mąki, sól, śmietankę z żółtkami, resztę cukru i roztopiony szpik. Wyrabiać łyżką, dopóki od niej nie odstanie. Wyrobione ciasto postawić w cieple, niech wyrośnie, wtedy wyjąć na stolnicę dosyć suto mąką posypaną, rozwałkować na palec grubo, wykrawać niewielkim kieliszkiem krążki, zlepiać po dwa razem, układać na sicie, wyslanem serwetą, żeby podrosły. Wyrośnięte rzucać na silnie rozgrzany szmalec. Smażyć na złoty kolor, wydawać natychmiast osączone z tłuszczu i ułożone na okrągłym (wygrzanym) półmisku wyslanem serwetą.

Pączki kartoflane z szynką. Proporcja: 4 duże, syplkie kartofle, 1 i ¾ szklanki mąki pszennej, 2 dkg. drożdży, 2 jajka i tyle słodkiej kremowej śmietanki, żeby ciasto było tak gęste jak na pączki. Szynka gotowana. Tarty ser szwajcarski.

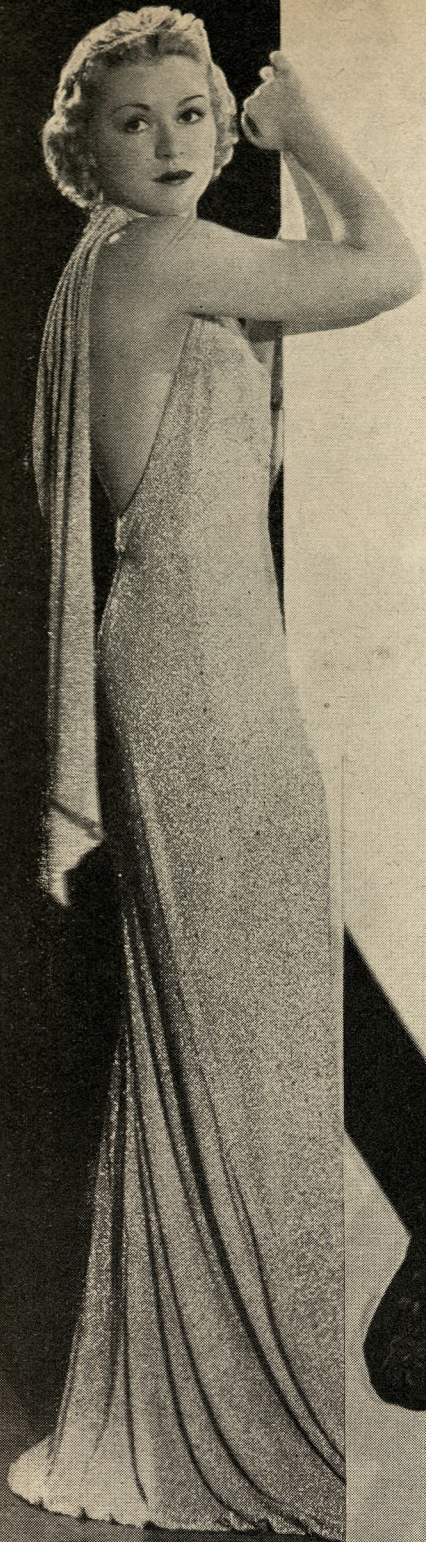
Upiec w łupinach 4 duże, syplkie kartofle, wybrać środkki, przefasować przez sito, posolić do smaku. Dodać: mąkę, jajka, drożdże rozprowdzone śmietanką i tyle słodkiej śmietanki, żeby ciasto dało się swobodnie wałkować. Wyrobić. Wyjąć na stolnicę posypaną mąką pszenną, rozwałkować na pół palca grubo, wykrawać kieliszkiem krążki. Na każdym krążku kłaść łyżeczkę drobniutko posiekanej, nieomal zmiażdżonej szynki gotowanej, dosyć tłustej, przykrywać drugim krążkiem, zlepiać delikatnie brzegi, układać na sicie, wyslanem serwetą. Ustawić w cieple, niech wyrosną. Smażyć na dobrze rozgrzanym szmalecu, rumienić z obydwóch stron. Wyjmować łyżką durszlakową, osączać z tłuszczu. Podać gorące, ułożone na okrągłym półmisku wyslanem serwetą. W ostatniej chwili posypać suto tartym serem szwajcarskim.

Melba.

CZYTELNICZKI NASZE

prosimy, by żądały pism
kobietych we wszystkich
kawiarniach, cukier-
niach, restauracjach,
czytelniach i t. d.

Suknie wieczorowe



Przód i tył sukni wieczorowej z jedwabiu, przetrzaskanego złotem.

Suknia z czarnego aksamitu z rękawami z koronki.



Berecik aksamitny.

Kapelusz filcowy, spięty fantazyjną klamką.

148 B. Palto przybrane rulonami futra.

149 B. Kostjum z wełny angielskiej z futrzanym krawatem.

150 B. Palto z szarej wełny, przybrane kretami.



148 B.

149 B.



150 B.

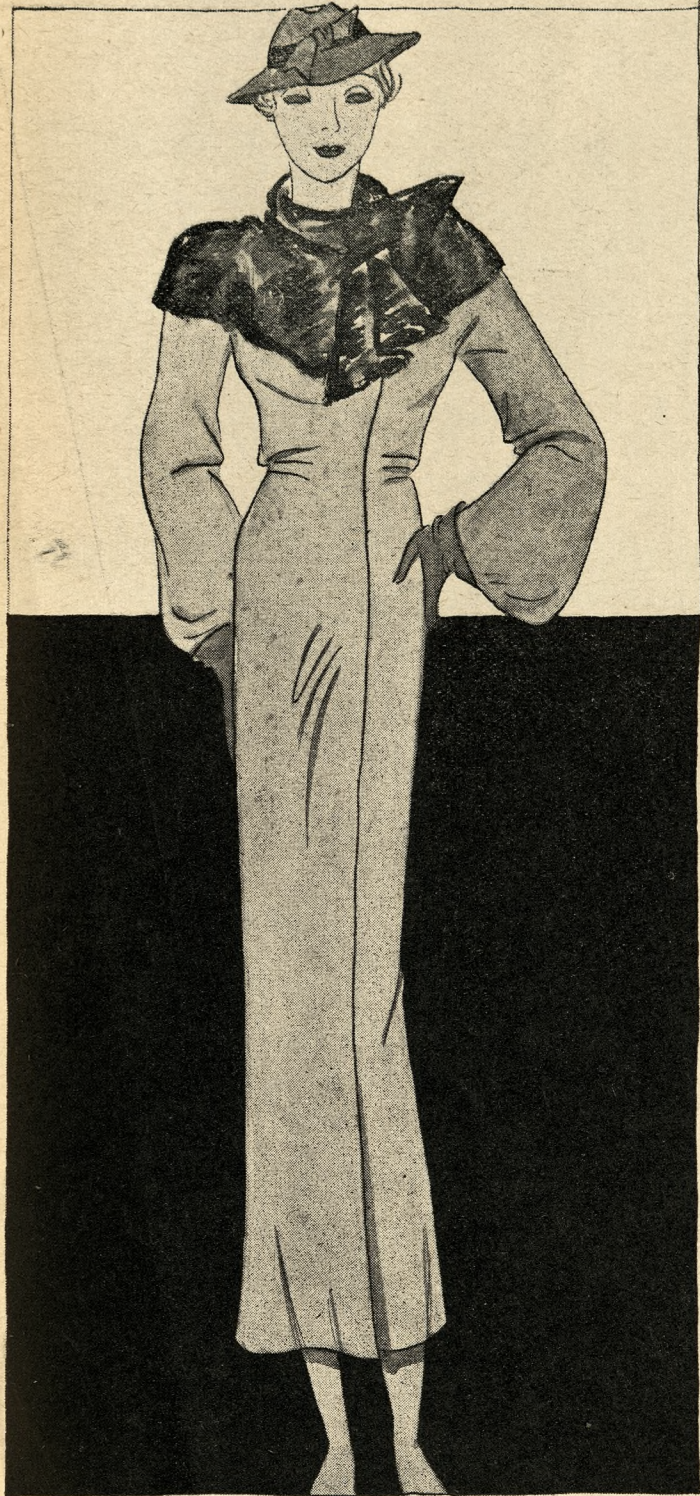
Kapelusz z filcu, przybrany piórkami.

151 B. Palto z kołnierzem w formie pelerynki.

152 B. Palto przybrane bogato piżmowcami.

153 B. Palto z wełny prążkowanej, przybrane kasztankami.

LK



151 B.



152 B.

153 B.

*Kapelusze
i uczesania*



Wzór z mereżkami na kopertę do serwety

Wziąć kawałek białego płótna 25 cm. szerokości, a 36 długości.

Deseń odkalkować czerwoną kalką.

Do obrabiania brzegów i haftowania użyć moulinet Nr. 14. Do wypełniania motywów cotton perlé Nr. 8.

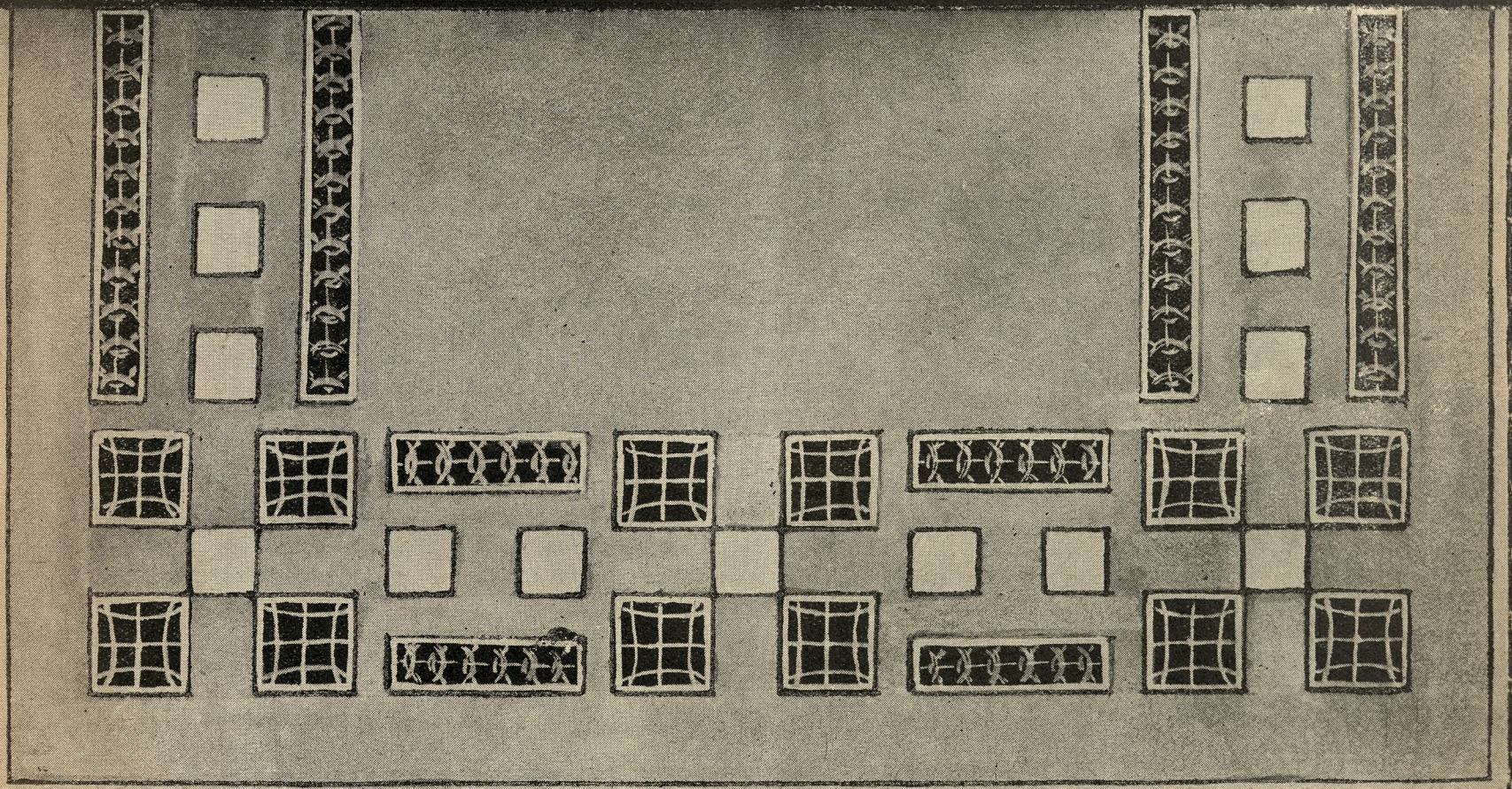
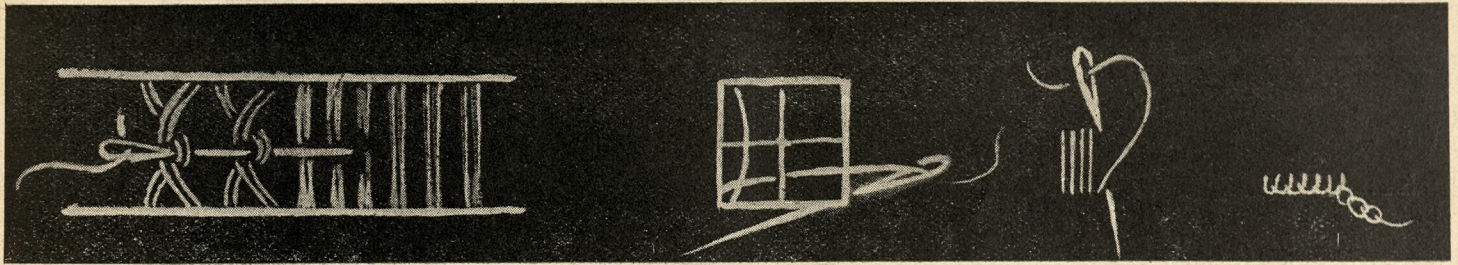
Kwadraciki przeciąć naskos, założyć brzegi do środka, obfastrygować i gęsto obrzucić. Cotton perlé użyć do wypełnienia motywów. Wykonać krzyż, związując go pośrodku, następnie skrzyżowane boki przepleść.

Do mereżki wyciągnąć nitki z płótna i z obu stron cienką nitką wykończyć zwyczajną mereżkę — środkiem połączyć po dwa słupki mereżki, krzyżując je — wykonać to z cotton perlé.

Brzeg wydziergać z pikotami.

Pikotki: zrobić w powietrzu trzy ścięgi łańcuszka, przy czwartym wpiąć igłę w pierwszy ściąg, następnie dalej dziergać, aż do następnego pikotu. Wewnątrz kopertę złączyć i już razem przedziergać.

Eleonora Kotwicz-Onichimowska.

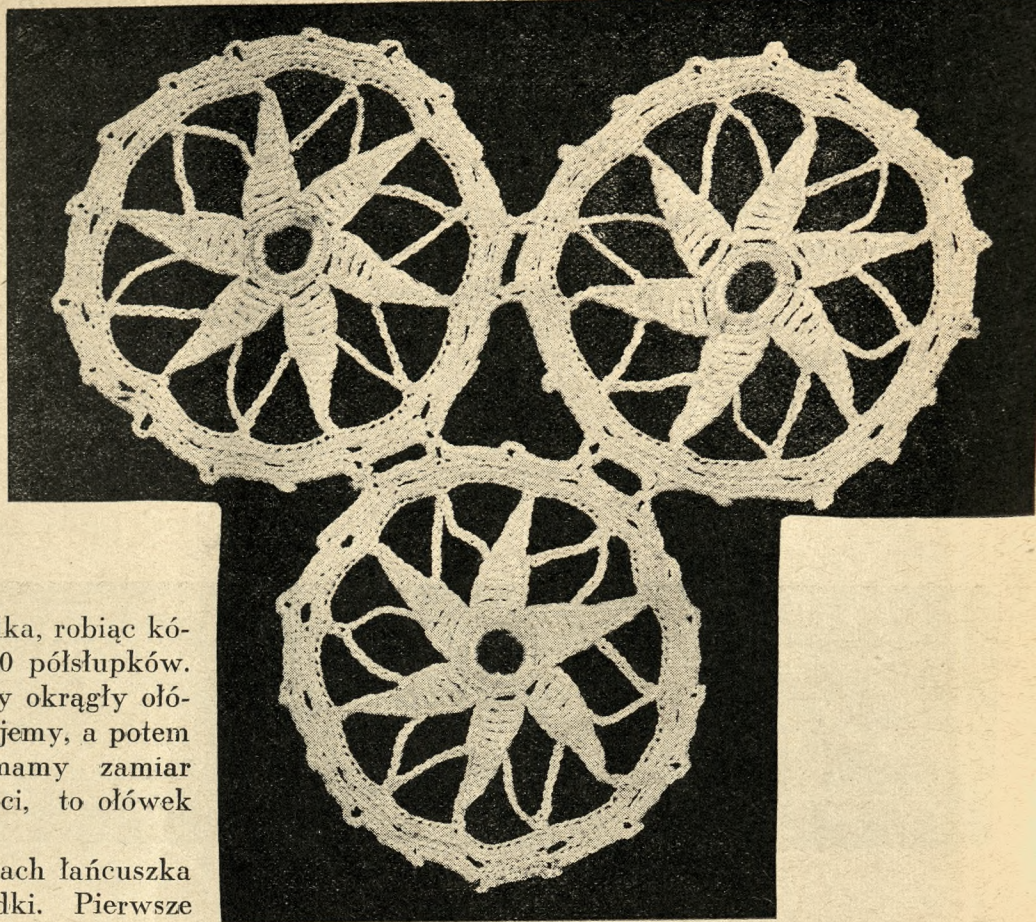


ESKO

Kółka

szydełkowe

z gwiazdką



Gwiazdkę rozpoczynamy od środka, robiąc kółeczko, na którym zmieścić trzeba 30 półsłupków. Najlepiej w tym celu owinać zwykły okrągły ołówek 8 do 9 razy nitką, kółko zdejmujemy, a potem obrabiamy półsłupkami. Jeżeli mamy zamiar gwiazdki robić z bardzo cienkich nici, to ołówek zwykły będzie za gruby.

I obrobienie: Na trzynastu oczkach łańcuszka robimy każdy z 6-ciu zębów gwiazdki. Pierwsze oczko przepuszczamy, a na następnych 12-tu 3 półsłupki, 2 owijane półsł., 2 słupki, 2 dwa razy owij. słup., 3 trzy razy owij. słupki, poczem każdy ze zrobionych zębów gwiazdki przyczepiany do każdego piątego półsłupka centralnego kółeczka.

II obrobienie: Przejsz pięcioma oczkami łańcuszkowemi do piątego słupka na pierwszym zębie. Trzema oczkami przejść z tyłu za zębami na jego przeciwną stronę i tam umocnić na piątym słupku, poczem 17 oczek i umocnić się na piątym słupku następnego zęba gwiazdki, znów przejść trzema oczkami z tyłu na przeciwną stronę, umocnić i znów 17 oczek. To powtarzać, aż wrócimy do punktu wyjścia.

III obrobienie: Przejsz znów oczkami na wierzchołek zęba, 9 oczek i 1 półsłupkę w środkowe z 17 oczek. To powtórzyć jeszcze 5 razy.

IV obrobienie: Po jednym półsłupku w każde oczko poprzedniego rzędu.

V obrobienie: 6 półsłup. 3 oczka ponad dwoma półsłupkami poprzedniego rzędu. To powtarzać w koło.

VI obrobienie: 1 półsłupek w każdy słupek poprzedniego rzędu i w każde oczko. Co 7 słupków, pikotka z trzech oczek.

Gwiazdki łączymy między sobą, jeśli chodzi o serwetkę lub wstawkę, chwytając za dwie pikotki. Między gwiazdkami umieszczamy kółeczka, wrobione potrzebnią ilością oczek łańcuszkowych równomiernie między 4 gwiazdki.

**DO ROBOT
RĘCZNYCH**



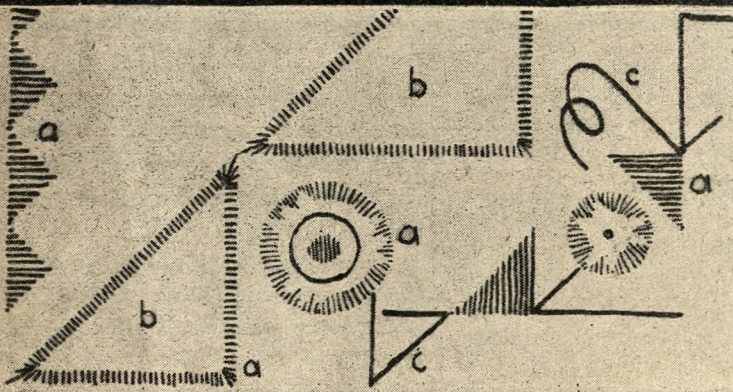
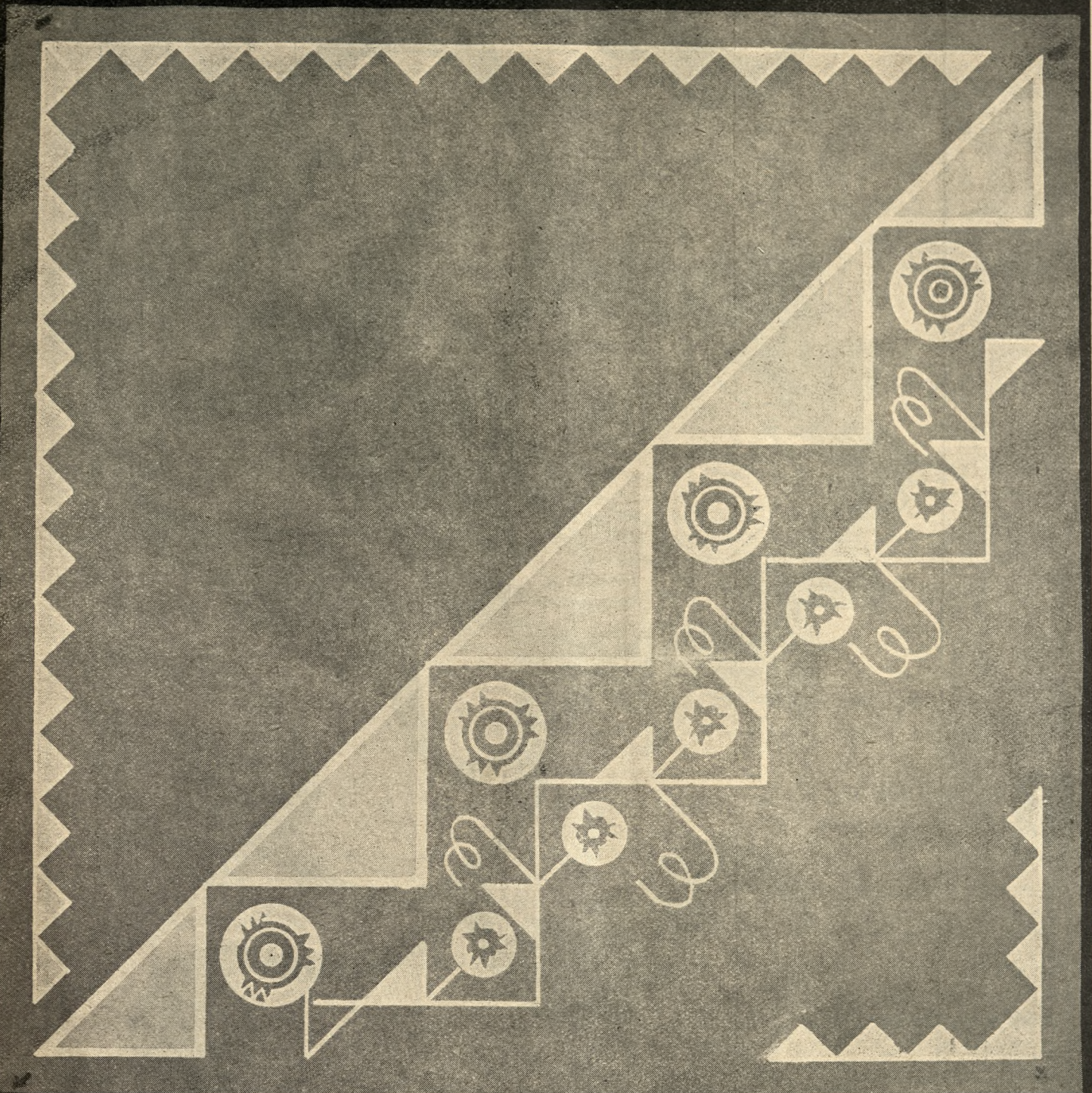
**WŁOCZKI
I WEŁNY
„TROJKAT w KOLE”**



KAŻDY ŚWIATŁY POLAK — PIONIEREM OŚWIATY: UMIEJĄCY CZYTAĆ UCZY ANALFABETĘ!
OTO ZADANIA MIESIĄCA LIKWIDACJI AN ALFABETYZMU.
Wskazówki w Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Krak. Przedmieście Nr. 7.

S a s z e t k a

z białego opalu - haft biały - bawełna mouliné N° 20



ściegi

a - atłasek

b - aplikacja

c - za igłą



Wzór na ręczną torebkę — do wykonania bawełną D. M. C. na kanwowym materiale.

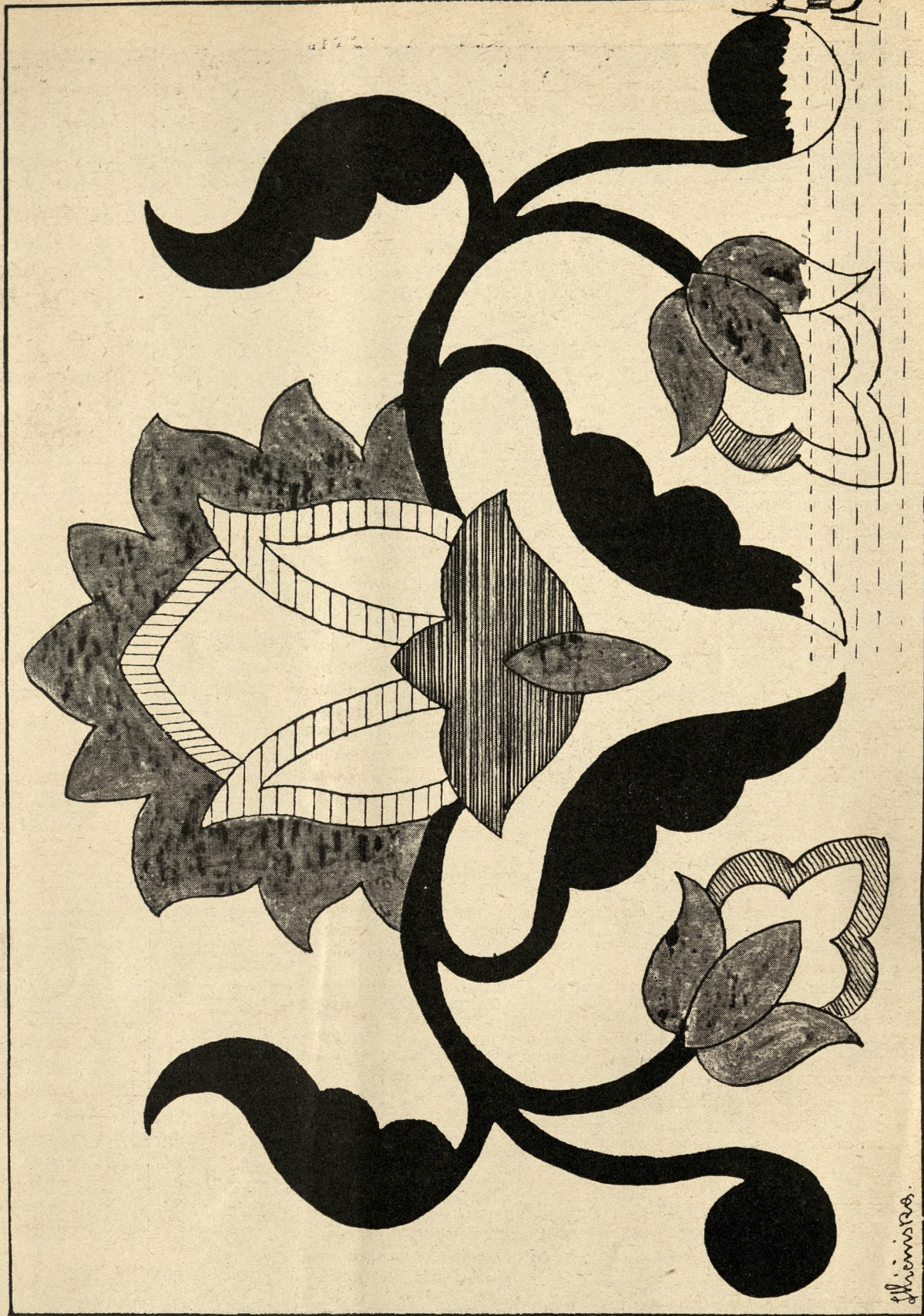
— bordo z odcieniem brązowym.
— zielony.



— brązowy.
— bronz. jasny.



Tło szafirowe.



W. W. W.

POD HASŁEM WALKI Z ANALFABETYZMEM

Doniosła akcja organizacyjnej społecznych

Jedną z najgorszych pozostałości z okresu niewoli, z którą niezdolaliśmy się dotychczas uporać, jest fakt analfabetyzmu w wielkiej części ludności Państwa Polskiego. Mamy dotychczas, niestety, ponad 6 milionów dorosłych analfabetów.

Spółczesność polskie musi jaknajrychlej przystąpić do systematycznej pracy nad zlikwidowaniem analfabetyzmu.

To też na najwyższe uznanie i najgorętsze poparcie zasługuje inicjatywa z jaką w tej sprawie wystąpiła ostatnio Polska Macierz Szkolna.

Ponieważ Państwo nie jest obecnie w możliwości zorganizować powszechnego nauczania analfabetów, a z drugiej strony zawiodły próby zbiorowej nauki dorosłych analfabetów — Macierz Szkolna zaprojektowała inną w tej dziedzinie metodę działania. Rzuciła wielki projekt, w myśl którego członkowie zrzeszeń społecznych i kulturalnych mają przystąpić do

indywidualnego nauczania poszczególnych analfabetów. W ten sposób pokonana być może przeszkoda polegająca na tem, iż dorośli analfabeci niechętnie korzystają ze zbiorowej nauki czytania i pisania. Szereg wielkich organizacyj i zrzeszeń zgłosiło już swój akces do tej doniosłej akcji, którą organizuje Polska Macierz Szkolna pod nazwą „Miesiąc likwidacji analfabetyzmu“.

Akcja ta rozpoczyna się już w pierwszych dniach listopada r. b.

MEBLE gwarantować może tylko własna wytwórnia

Stołowy 14 sztuk 450. Sypialnia 10 sztuk 440. Gabinet 460. Salony mahoni 10 sztuk 220. Złoczone orzechowe, fotele futurystyczne, tapczany higieniczne 85. Otomany 120. Stoły rozsuwane 50. Krzesła wyścielane 15, oraz najróżnorodniejsze sztuki.

OLKOWSKI Nowy Świat 12, tel. 9-10-93
= Firma chrześcijańska =

WALKA O SZKOŁĘ NARODOWĄ DLA POLAKÓW ZAGRANICĄ

W niedzielę dn. 22 b. m. w sali posiedzeń Senatu odbyło się zebranie sprawozdawcze ze zbiórki, przeprowadzonej w styczniu i lutym r. b. na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą, oraz jednocześnie zebranie organizacyjne głównego komitetu zbiórki na rok 1935.

Zebranie zagaik marszałek W. Raczkiewicz, poczem sprawozdanie z wyników finansowych zbiórki przedstawił dyr. E. Kłopotowski.

Tegoroczna zbiórka dała w ogólnym wyniku 445.753 zł. 45 gr. Po potrąceniu kosztów admin. wpływ netto wyniósł 428.066 zł. Prezes Jan Dębski przedstawił projekt powołania do życia Towarzystwa Przyjaciół Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą. Członkowie tego Tow. wzięliby na siebie obowiązki propagowania zadań i działalności Funduszu i przeprowadzenia akcji zbiórkowej.

Z kolei prezes Funduszu, dr. B. Helczyński przedstawił potrzeby szkolnictwa polskiego zagranicą, zaznaczając, że brak odpowiednich szkół polskich, grozi największą katastrofą, całkowitem wynarodowieniem młodego pokolenia polskiego na obczyźnie.

Jedyną ogólnospołeczną akcją gromadzenia na ten cel funduszy jest powszechna zbiórka na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą. Aby tej akcji zbiórkowej dać bardziej stałe podstawy, należy powołać Tow. Przyjaciół Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą, którego członkowie wezmą na siebie obowiązek jej przeprowadzenia i propagowania.

Zgromadzeni postanowili: uznać się za Główny Komitet Zbiórki na Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą w roku 1935; wezwać całe społeczeństwo do wzięcia udziału w tegorocznej zbiórce, oraz powołać Komitet Wykonawczy Zbiórki w następującym składzie: Ambroziewicz Wiktor, Dąbrowski Stanisław, Dębski Jan, Dippel Stanisław, dr. Helczyński Bronisław, Kłopotowski Edmund, dr. Kupczyński Tadeusz, Lenartowicz Stefan, Maciszewski Seweryn, Olszewski Feliks, Szwedowski Stefan, Zalewski August, Zalewski Mieczysław, dr. Zdrojewski Eugeniusz.

KWIETNE DOMY

Pod hasłem: „Czcicie zmarłych, pomagacie żyjącym“, powstała w Szwecji instytucja, godna naśladowania w każdym kraju. Jest to t. zw. „Blomsterfonden“, czyli fundusz kwiatowy, zainicjowany przez p. Alme Sven Hedin, siostrę sławnego podróżnika, która z ofiar, za jej inicjatywą składanych, zamiast kwiatów na

trumny — zapoczątkowała budowę domów mieszkalnych dla zubożałych i samotnych staruszków.

Wielkie domy Blomsterfonden posiadają oprócz wspólnych sal jadalnych, biblioteki, sali koncertowej, kuchni etc., małe jedno lub dwuosobowe mieszkania z kuchniami lub bez dla wszystkich gustów i wymogów indywidualnych.

Są tu małżeństwa, emeryci, lecz przeważają samotne niewiasty. Czasem dwie siostry, albo dwie przyjaciółki zamieszkują wspólny pokój, prowadzą, chcąc wyładować resztki energii, własne miniaturowe gospodarstwo w równie miniaturowej kuchence. Wśród własnych mebli nie skrzepowani żadnym rygiem, mieszkańcy „kwiatnych domów“ przyjmują krewnych i gości.

Wieczory wypełnione są koncertami, odczytami i grą towarzyską. Siostry pielęgniarki w aptece domowej cierpliwie wyszukują lekarstwa i słuchają białad nad prawdziwymi lub urojonymi dolegliwościami.

A co najważniejsze — domy Blomsterfonden wolne są nawet od pozorów przytulku lub instytucji dobroczynnej. By uszanować poczucie godności, by odzębnić u pensjonariuszy jakąkolwiek świadomość jałmużny, mieszkańcy opłacają minimalne komorne, dostosowane do funduszy, jakimi rozporządzają.

W salach wspólnych i mieszkaniach uderza bogactwo kwiatów. Wazon, zieleń, kwiaty cięte. Na podwórkach i na dachach przepych kwiatowy.

Wzorem ministra szwedzkiego Brantinga, większość Szwedów w testamentach swych nawołuje przyjaciół, by nie zapominali o „Domach kwiatnych“.

KURS OGRODNICTWA

Posiadaczów małych ogródków przy willach i letniskach albo w powstających coraz liczniej miastach - ogrodach, jak również ziemian, którzy zechcieliby rozszerzyć zasób swoich wiadomości ogrodniczych, zainteresuje zapowiedź, że Koło Miłośników Ogrodnictwa rozpoczyna dnia 21 listopada 1934 r. trzymiesięczny kurs ogrodnictwa.

Cały kurs będzie podzielony na 5 cykli, z których każdy stanowi zamkniętą całość. Dzięki temu, osoby, którym sprawia trudność pozostawanie przez czas dłuższy w Warszawie, albo które interesują się tylko pewnymi tematami, będą mogły zapisywać się na poszczególne cykle, według ściśle ustalonego programu.

Cykl I obejmuje wiadomości wstępne o glebie, uprawie i nawożeniu w ogrodnictwie. Cykl II, Warzywnictwo. Cykl III, Owocarstwo i sadownictwo. Cykl IV, Kwaciarstwo gruntowe. Cykl V, Przetwórstwo owocowe i warzywno, pszczenictwo oraz choroby i szkodniki roślin.

Wykłady będą się odbywały w Tow. Ogrodn. Warsz., Bagatela 5 w poniedziałki, środy i piątki od godz. 6 — 8 wiecz.

Informacje i zapisy: Biuro Koła Miłośników Ogrodnictwa, Al. Jerozolimskie 20 m. 16, tel. 652-70, oraz Kierowniczka Kursu p. Wysocka, tel. 840-18.

*Wetny
i Włóczki*

P.D.M.

*Są najlepsze
i najtańsze*

Do nabycia wszędzie

OGŁOSZENIA DROBNE

Dr Michałek-Grodzki
Chirurg-Plastyk
OPERACJE KOSMETYCZNE
Warszawa, Złota 5.



PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr Med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kislewskiej
Warszawa, Szopena 16.

**Jak wykonać cały
szereg wykwintnych
modnych rzeczy, na-
uczy Panie księżecz-
ka p. t.:**

**„Artystyczne
pikowanie“**

w opracowaniu
T. GŁĘBOCKIEJ
cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80gr.

Do nabycia w Tow. Wydaw-
„BLUSZCZ“

Każda z pań zrobi dla siebie, męża i dzieci najmodniejsze kamizelki, swetry szale i wiele innych rzeczy, przy pomocy doskonałych podręczników

SZYDELKIEM

i na

DRUTACH

DLA DZIECI

DLA MŁODZIEŻY

DLA PAŃ I PANIENEK

DLA PANÓW I CHŁOPCÓW

ŚCIEGI SZYDELKOWE I NA DRUTACH

Do nabycia:

w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Solec 87
i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich kioskach „Ruchu“ i księgarn.

Cena każdej książki 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Ilustrowane podręczniki ręcznych robót kobiecych

wydane przez Tow. Wyd. „Bluszcz“

Malowanie, liworyzacja, tamponowanie
sposoby ozdabiania materiałów oraz wzory naturalnej wielkości. Cena 1 zł., z przesyłką pocztową 1 zł 30 gr.

Zbiór monogramów

album, zawierający przeszło 600 wzorów od wykwintnych do najskromniejszych. Cena 2 zł. 50 gr., z przes. poczt. 3 zł.

Metaloplastyka

dokładna nauka artystycznego wytłaczania metali, ilustracje i wzory naturalnej wielkości. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Roboty frywolitowe

część I, dokładna nauka delikatnych robót koronkowych, zaopatrzona w liczne wzory. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Roboty na drutach

szczegółowa nauka delikatnych ściegów na drutach i ich zastosowanie. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Haft toledo

nauka wykonania i wzory. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

100 ściegów szydełkowych i ich zastosowanie

Cz. I. Ściegi zasadnicze i ozdobne. Cz. II. Ściegi tunetańskie. Cena każdej części 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Haft biały

dokładna nauka wszystkich ściegów, używanych przy białych haftach, oraz wzory naturalnej wielkości. Cena 1 zł., z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Wzory haftów białych i kolorowych

w 2-ch zeszytach, z których każdy zawiera po 100 wzorów naturalnej wielkości haftów białych i kolorowych. Cena każdego zeszytu 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Podręcznik robót siatkowych (filet)

dokładna nauka robienia siatki i ściegów, używanych do jej poszywania, oraz wzory i sposoby wykonania motywów, koronek, stor i t. p. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Haft kolorowy

dokładna nauka wszelkiego rodzaju haftów kolorowych, sposoby wykonania oraz wzory naturalnej wielkości. Cena 1 zł., z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Wszystkie powyższe książki są do nabycia w księgarniach oraz kioskach Tow. „Ruch“ i w Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Solec 87 i Świętokrzyska 17

Konto P. K. O. 12 200